

Adam Boruta

FELIETONY

TRAKTAT O WYBORZE

(I o wyższości prasy nad RTV)

Wybór goni wybór. Wybieramy sami, wybiera za nas ktoś lub coś. Raz tego chcemy, innym razem nie ma wyjścia. Niekiedy mamy wystarczające dane, by podjąć decyzję, a kiedy indziej strzelamy na chybił trafił. Gdy przyjdą efekty, bądź to napawamy się własną roztropnością, bądź też żałujemy, że znów ustąpiliśmy swej drugiej połowie. Nie da się uciec przed wyborami. Już w momencie poczęcia w niejasnych okolicznościach rozstrzyga się, czy będziemy chłopczykiem, czy też dziewczynką. Raz (niektórzy parę razy) w życiu zmieniamy stan cywilny mówiąc „tak”, choć teoretycznie moglibyśmy powiedzieć „nie”; co parę lat zastanawiamy się, czy podążyć do urn, by obdarzyć władzę jakąś siłą polityczną; codziennie wieczorem zamykamy usta telewizji państwowej i udzielamy głosu stacji komercyjnej, albo - na odwrót.

Wiele jest rodzajów wyborów. Nas interesują nie te, w których rola nasza jest bierna (jak wtedy, gdy los decyduje, jaką płć będziemy reprezentować), lecz te, w których mamy coś do powiedzenia. Jednak okazję na coś więcej do powiedzenia dają tylko rozstrzygnięcia, podczas których mamy jaką taką ilość informacji, a nie dylematy, które zmuszeni jesteśmy rozwiązywać metodą ślepego trafu. Ale nawet wówczas, gdy ograniczymy się do wyborów świadomie dokonywanych na podstawie wystarczających danych, zauważymy, że stoimy na brzegu całego morza różnorodności: prócz rekina wabiącego się „żyć z pracy, czy z kradzieży?” pomykają tu całkiem spore okazy „azali dać w pysk Zdzichowi?” i „oświadczyć się Marioli?” torujące sobie drogę pośród kłębowiska drobiazgu w rodzaju „posolić, czy popieprzyć?”. Na szczęście dla naszej analizy wszystkie one mają podobną strukturę, choć jest to struktura wcale skomplikowana; przedstawić ją można jako ciąg dokonujących się w czasie, kolejnych czynności. Opiszmy to z naukową skrupulatnością, ale przystępnie, a zatem na przykładzie.

Dajmy na to, że wpadła nam w oko ta oto gazeta i postanowiliśmy rozważyć, czy warto jest wejść w jej posiadanie. Natknąwszy się na obiekt do kupienia winniśmy wprzód ustalić, czy posiada on dla nas wartość użytkową, czyli inaczej - czy jest w stanie zaspokoić jakieś nasze potrzeby. Człowiek cywilizowany wie, jak zaskakująco wiele różnorodnych zastosowań mieć może prozaiczna, papierowa gazeta i nagabywany wskaże całą ich gamę, od intelektualnych poczynając a na pirotechnicznych i sanitarnych kończąc. Aby nie poddawano w wątpliwość głębokości naszej analizy, zauważmy jeszcze, iż zdolność gazety do zaspakajania naszych potrzeb może mieć swe źródło tak

w jej własnościach niejako immanentnych (gazety jako gazety), jak i w jej uwikłaniu w okolicznościowe struktury. W pierwszym przypadku chodzić może np. o łatwopalność czy szorstkość materiału albo też o treść artykułów. Drugi, bardziej skomplikowany przypadek, zilustrujemy przykładami. Przypuśćmy oto, iż będąc mężczyzną (bądź kobietą kochającą inaczej) udaliśmy się do kiosku po papierosy, aż tu kątem oka dostrzegamy atrakcyjną pannę Krysię mającą opinię intelektualistki; w tej sytuacji nabycie przez nas gazety może być traktowane jako środek pozwalający zakomunikować pannie Krysi nasze duchowe pokrewieństwo. Albo tak: jak co dnia podąża za nami do kiosku sąsiad Antoni, by kupić tytuł prasowy, bez lektury którego nie jest w stanie zapaść w stan snu; jeśli wzrost ciśnienia u pana Antoniego sprawi nam radość, wykupimy ostentacyjnie dostępne jeszcze egzemplarze, głośno wyrażając zamiar wytapetowania garażu.

Ale ustalenie, że coś posiada wartość użytkową, wystarczać mogło w tych ponurych czasach, kiedy to nawis inflacyjny do niemożliwości wypychał nam kieszenie. W dobie przewagi podaży nad popytem nabycie jednego dobra ogranicza możliwości nabycia innych. Wyobrażając sobie, że jesteśmy posiadaczem gazety, zauważamy niekiedy ze smutkiem, iż przyjdzie nam zrezygnować z kremu do golenia albo farby do włosów. Wygląda na to, że zmuszeni jesteśmy wybierać między użytecznymi obiektami. Ale to pozór tylko, bo tak naprawdę wybrać musimy między potrzebami, które owe obiekty zdolne są zaspokoić. Nie możemy z braku miejsca rozważać relacji między potrzebami. Ale „czuć”, że tworzą one hierarchię, w której królują te najbardziej istotne lub naglące, a gdzieś z tyłu wloką się jakieś takie blahe, być może z kaprysu zrodzone. Specjalną grupę potrzeb tworzą te, które najchętniej nazwalibyśmy „potrzebami egzystencji”; każą nam one starać się o jedzenie, picie, czy mieszkanie. Z interesującego nas punktu widzenia ów szczególny charakter sprowadza się do tego, że ich zaspokojenie warunkuje zaspakajanie potrzeb pozostałych; jeśli nie będziemy jedli, pili i nie znajdziemy własnego kąta - choćby na minimalnym poziomie - to w skrajnym przypadku pomrzemy, a w najlepszym - walka o byt tak nas zaabsorbuje, że nie starczy nam czasu na nic innego. Każdy to wie, że nędzarzowi gazeta nie przyda się do poczytania, ale co najwyżej na rozpałkę albo po to, by wymościć nią legowisko.

Wróćmy do problemu, od którego wyszliśmy. Powiedzmy, że uzmysłowiliśmy sobie naszą hierarchię potrzeb i wyszło nam, że żadna z potrzeb egzystencji nie jest na tyle zagrożona, by uniemożliwiało to zajęcie się innymi. Czy już jesteśmy gotowi do zawłaszczenia tej oto gazety? Nie całkiem, bo nie ustaliliśmy jeszcze hierarchii wartości. „Wartościami” w tym kontekście nazwiemy wszelkie obiekty (rzeczy albo

stany rzeczy), których posiadanie, bliskość, możliwość oglądu itp. zaspakaja jakąś potrzebę; z treści dotychczasowych wywodów wynika, że wartości to tyle, co nośniki wartości użytkowej. (Zaznaczmy od razu, by uniknąć nieporozumień, że w publicystyce politycznej używa się obecnie węższego zakresowo pojęcia „wartości” ograniczonego do stanów rzeczy, które my nazwalibyśmy „wartościami ze szczytów pewnej hierarchii”.) Hierarchia wartości kształtuje się pod wpływem hierarchii potrzeb, bo dość oczywiste jest, że notowania danej wartości muszą zależeć od rangi potrzeby, którą ta wartość zaspakaja. Sytuację komplikują jednak inne czynniki. Otóż obiekty, które tu chcemy hierarchizować, mają na ogół wpływ na zaspakajanie nie jednej, lecz wielu potrzeb. I to nie tylko o to chodzi, że dana wartość może zaspakajać kilka potrzeb równolegle; znacznie większą zagwozdką jest to, iż zdarza się, że jakiś obiekt jedne potrzeby zaspakaja, ale inne pogłębia, czyli jest względem tych innych antywartością (czy wartością negatywną). Pijąc na imieninach pana Zdzisia utwierdzamy dobrosąsiedzkie stosunki, lecz kalamy nasz wizerunek człowieka wolnego od nałogów; nie pijąc wizerunek ratujemy, jednakowoż pan Zdzisio eliminuje nas z listy swoich przyjaciół. Dodatkowo miesza swego rodzaju zasada ekonomii, do której już się odwoływaliśmy: „powoływanie do istnienia” rzeczy czy stanów rzeczy wymaga nakładów czy to wysiłku, czy czasu, czy wreszcie w wielu wypadkach - przasných pieniędzy; w tej sytuacji zyskują na wadze wartości, które są „niskonakładowe” lub przynajmniej nie utrudniają realizacji innych wartości. Mimo wszelkich przeciwności - zarówno tu wskazanych, jak i pominiętych - hierarchia wartości w końcu powstaje. Mało kto ją sobie do końca uświadamia (komu się chce czynić tak skomplikowane dywagacje?), lecz każdy w miarę normalny osobnik jakoś ją tam intuicyjnie wyczuwa. (Niektórzy, co prawda, są na tyle nieprecyzyjni, że potem swych wyborów żałują.) Dalej sprawa jest prosta: realizujemy wartości najbardziej preferowane, odfajkowując je kolejno według listy i posuwamy się w tym zbożnym dziele tak daleko, jak tylko starczy nam sił, zapału i środków. Tak oto można scharakteryzować proces wyboru.

Powróćmy teraz do naszego gazetowego dylematu. Ale odprężmy się i przymrużmy oko. Porzućmy chwalebna naukową skrupulatność i odwołajmy się do zdrowego rozsądku. Załóżmy dla uproszczenia, że gazeta interesuje nas głównie jako środek masowego przekazu, choć nie są nam obojętne inne jej walory. Wynika z tego, że przeważnie jest tak, iż gazeta jawi nam się jako wartość, bo odczuwamy potrzebę dostępu do środków masowej informacji. Ale prócz prasy mamy przecież inne mass media, wśród których wyróżniają się radio i telewizja. Nie sposób przed decyzją, czy kupić

tę oto gazetę, nie zbadać położenia prasy i RTV w obrębie naszej hierarchii wartości. Ruszmy przeto w te pędy po niezbędne dane.

Słowo drukowane przoduje pod względem zastosowań ubocznych. Spróbujcie użyć odbiornika w celu zabicia owada bądź skarcenia domownika! Użyjcie go jako pochodni bądź zarzewia! Ściśnijcie go w kulę i rzućcie, by zwrócić na siebie czyjąś uwagę! Nawet najbardziej ideowy ekolog nie zastosuje odbiornika w ubikacji, by opóźnić wytrzebiecie drzewostanu! Nie myślcie, że uda się komu wyglansować nim buty. Nic z tego. Takie wykorzystanie RTV jest albo niemożliwe, albo kłopotliwe lub zbyt kosztowne.

Wyższość prasy w dziedzinie przekazu myśli ma swe źródło w tym, że słowa drukowanego nie trzeba specjalnie rejestrować, by doń powrócić. Jest to korzystne zarówno 1/ dla tych, którzy akceptują treść przekazu, ale - śmiemy twierdzić - bardziej jeszcze 2/ dla tych, którym treść owa nie odpowiada. Ad 1/ Gazetę możemy podetkać pod nos oponentom i wątpiącym, by pojęli, iż autorytety są za nami, a przeciw nim; sami przy okazji utwierdzimy się w wierze, ile razy będziemy chcieli. Ad 2/ Dysponując wraz z prasą skutecznie i w dowolnym momencie złagodzimy stres niszcząc czy też w satysfakcjonujący sposób plugawiąc bluźnierstwo; rytualne niszczenie i plugawienie doskonale służy integracji grup formalnych i nieformalnych, również partii politycznych; jest pożądanym elementem inicjacji. Zapowiedź palenia organów opozycji skutecznie zwabi młodzież na organizowane przez nas happeningi, co w przyszłości zaprocentuje naborem świeżych kadr. Warto też zwrócić uwagę na to, że uchronienie społeczeństwa przed szkodliwymi miazmatami rozsiewanymi przez prasę osiągnąć można przez zwyczajne wykupienie nakładu, co polecamy naszym wrogom. Czyż nie jest tak, że analogiczne postępowanie wobec odbiorników RTV jest albo niemożliwe, albo kłopotliwe lub zbyt kosztowne?

I to by było na tyle. Że co? że wiecie już, iż warto kupić gazetę, ale nie wiecie, czy warto kupić tę oto gazetę? Ależ warto, warto. Zresztą już ją kupiliście, bo czytacie.

CZY SIĘ WYBRAĆ NA WYBORY?

Jakże piękny, jak cudowny nastał czas. Z niczym nie da się porównać okresu kampanii wyborczej i samych wyborów. Z niczym. Świat staje na głowie. Może nie świat, jeno kraj ów, co się do zmiany parlamentu sposobi. Prosty obywatel nie wbija się w odświętne ubranie, by potulnie dreptać do biura parlamentarzysty i skamlać o interwencję. To kandydat na parlamentarzystę odziewa się zgodnie z imaż i podąża truchcikiem na spotkanie z wyborcą, by skamlać o głos. I masz - tego Iksińskiego z koalicji, co to ustawami walił nas po kieszeni jak obuchem, żeby portfel skruszał. I masz - Igrekowskiego z opozycji, który karmił nas przestrogami, że się nie uda, aż dostawaliśmy ze strachu niestrawności. W radosnej wyborczej dobie Iksiński z Igrekowskim zgodnie machają przed tłumem łapkami i szczerzą ząbki; nie rozdziawiają jednak nadmiernie paszczy, by nie było widać, jak bardzo naostrzyli sobie kielki na immunitet. A napsuszony elektorat ujmuje się pod boki i woła: „a teraz poskaczcie no nam na jednej nóżce, a żywo!”. I żąda igrzysk w postaci politycznej debaty; nikt przy okazji białe plamy, które tak męczyły historyków najnowszych: „Tyś był ubekiem!” zarzuca Igrekowski Iksińskiemu, „A ty moim agentem!” odpala Iksiński, „Ale sabotowałem i w raportach z czarnego robiłem białe” broni się Igrekowski, „Toś robił głupstwo, bo ja też sabotowałem i z białego robiłem czarne” replikuje Iksiński i już wie, że wyjaśnił pospółu z adwersarzem, jak to mogło być, że Kiszczak wiedział wszystko, choć zmagął się z opozycją tak zewnętrzną, jak i wewnętrzną. No i proszę zauważyć, jak bardzo te nieszczęśliwe elementy elity muszą się starać o opinię swojego chłopca, co to go do rany przyłożył. Oj wiedział ci o tym pan Zdziwo i bez żadnych obaw, nażarłszy się czosnku, nastąpił Iksińskiemu na odciski, by zrobić mu niedźwiedzia. Politykowi aż łzy stanęły w oczach, jął oddychać przez usta, zbladł i pozieleniał, ale mężnie zdzierzył, poklepał nawet napastnika ze dwa razy po plecach. A bodyguardzi ni mru-mru, podtrzymali go tylko pod ramiona i unieśli dyskretnie do „Lancii”. A teraz w barze na rogu obywatele pijący dumnie wznoszą kufle i mrugają do siebie, bo wiedzą, że wystarczy się skrzyknąć i wybiorą, kogo tylko będą chcieli. Teraz wszystko od Ciebie zależy, szary Polaku, Ty zdecydujesz, kto stanie u steru. Raz na cztery lata kot odwraca się ogonem i rządzi stają się rządzącymi. Tak przynajmniej powinno być.

A czy tak jest? Do pewnego stopnia tak, do pewnego - nie. Obywatele z baru nigdy się nie zrosną w jeden organizm polityczny, bo bardzo różnią się opiniami. Iksiński i Igrekowski niekiedy są prawie pewni wyboru, bo potrafią z grubsza policzyć zwolenników i nie muszą robić mały przed widownią. Zdarza się, że któryś z nich nie lubi robić mały, bo powodowany jest nie tylko ambicją, ale i troską o kraj; raczej chce przekonywać, niż - wabić. Z drugiej strony jest trochę prawdy we wcześniej nakreślonej sielance. Faktycznie to szarzy Polacy przydzielają stołki kupiąc się przy tej a nie innej partii. Faktycznie decyduje większość. Politycy muszą trochę mizdrzyć się do wyborców, choć niekoniecznie tak, by się narażać na śmieszność. Iksińscy i Igrekowscy przejawiają tendencje do pokrzykiwania: „Śmierć fiskusowi, teraz się uda!”, bo zawsze bezpieczniej głosić to, co się elektoratowi podoba.

Pamiętacie, jak trudno było rozstrzygnąć, czy kupić tę oto gazetę? Tak samo trudno, albo bardziej jeszcze będzie wówczas, gdy wezwie nas urna. Wpierw trzeba zdecydować, czy podążyć za wezwaniem, czy też pozostać w domu. Politycy i publicyści przekonują w większości, by jednak podążyć, by ująć los we własne ręce. Co nas skłania do pozostania w domu? Albo nie potrafimy się zdecydować, na kogo głosować, albo nie mamy zaufania do polityków w ogóle i uważamy, że obojętnie, których byśmy wybrali - i tak nas zawiodą. Jeśli naprawdę nie potrafimy z przekonaniem wskazać najlepszych kandydatów do władzy, to właściwie - choć to wbrew autorytetom - lepiej nie głosować, niż głosować przypadkowo. Kierowanie się opinią innych - to też będzie niepopularne - grozi wypaczeniem wyborów, jeśli przyjmiemy, iż wybory powinny odzwierciedlać rzeczywisty stan świadomości obywateli (tym samym zresztą grozi głosowanie przypadkowe). Wniosek: jeśli nie mamy własnego zdania, lepiej nie głosujmy.

Totalna nieufność wobec polityków to takie samo głupstwo, jak ich totalne uwielbianie. Jest niemożliwe, by wszyscy byli w porządku i równie niemożliwe jest, by wszyscy byli nie w porządku. Problem, jak wyłowić tych fajnych. Sytuację komplikuje fakt, że fajny polityk może kandydować z niefajnej listy, albo odwrotnie. Możemy zakładać, że sympatyczny parlamentarzysta coś będzie w stanie dobrego załatwić swemu okręgowi, ale czy nie lepiej będzie, gdy sympatyczna partia załatwi coś dobrego całej Polsce? Czy korzystniej obdarować mandatem kogoś uczciwego jak Matka Teresa, lecz nie mającego siły przebiccia i zdolności organizacyjnych, czy też gościa tak samo nadpsutego moralnie, jak my sami, lecz potrafiącego prawie zawsze wyjść na swoje? Ten pierwszy nie sprzeniewierzy publicznego grosza, ale najpewniej

niczego wielkiego nie dokona; ten drugi zadba o swoją karierę, ale czy zadba o interes publiczny? W prawidłowo działającej demokracji karierowicz zmuszony jest zadbać o interes wyborców, bo boi się, że inaczej go odwołają, nie wybiorą ponownie lub nawet zasądzą, ale czy u nas mamy już prawidłowo działającą demokrację?

Naprawdę trudno jest wytypować w sam raz parlamentarzystę i w sam raz partię polityczną. Może łatwiej byłoby wyszukać nieodpowiedniego polityka i do kitu partię polityczną? Zastanówmy się, w jakiej rzeczywistości żyjemy. Czy zaspakajanie naszych potrzeb egzystencji (mówiliśmy o nich w poprzednim felietonie) nie zależy od stanu gospodarki? Skoro wpierw musimy egzystować, a dopiero egzystując mamy szansę spełniać się w pozostałych dziedzinach, to stan gospodarki plasuje się w centrum lub przynajmniej blisko centrum naszego zainteresowania. Tylko tyle możemy skonsu-mować, ile wyprodukujemy (chyba, że ktoś z zewnątrz dostarczy nam dóbr, ale lepiej na to nie liczymy, co?). Politycy nic za nas nie wyprodukują. Są ludzie, którzy sądzą, że państwo jest w stanie cokolwiek nam wszystkim dać. Tak dziecięco naiwne poglądy mogą rodzić tylko ludzie przygnieceni niedostatkiem, którzy stracili nadzieję (tonący brzytwy się chwyta) albo tacy, którzy myślą marzenia z rzeczywistością (jak tak byłoby fajnie, to tak musi być), albo wreszcie oszuści. Politycy (kierujący państwem) tak naprawdę mogą tylko nam coś zabrać w formie podatków, ceł itd. W związku z tym możliwe jest, oczywiście, że dadzą jednym to, co zabrali drugim, ale ogólny dobrobyt się przez to nie zwiększy (to, co jedni zyskają, drudzy stracą). Wzrost gospodarczy może się brać tylko - smutne to, ale prawdziwe - z codziennego tyrania nas wszystkich. Dobra polityka może temu nie przeszkadzać, może coś tam ułatwić. Zła - może wzrost zahamować, a nawet spowodować spadek. Taka smutna dysproporcja: najlepszy nawet polityk nie da nam tego, czego sami nie wytworzymy, zły polityk natomiast z łatwością puści kraj z torbami. Dlatego szczególnie niebezpieczni są tacy kandydaci na parlamentarzystów, którzy obiecują, że jeśli zostaną wybrani, to obdarzą nas dobrobytem. Są to albo oszuści, albo naiwni marzyciele. Oszuści są mniej szkodliwi: nabrali nas, by się wspiąć na piedestał; nie będą próbowali spełniać obietnic. Wkurzą nas, ale przynajmniej nie narobią gnoju. Gorzej z uczciwymi maniakami, którzy uwierzyli w jakąś cudowną teorię gospodarczą; jeśli są energiczni i potrafią skutecznie działać, gotowi nas załatwić na cacy.

SZKOŁA PRZETRWANIA

Wybieraliśmy gazetę i parlamentarzystów. Dumaliśmy nad wyborem jako takim. Trudno, trzeba nadażać za innymi. Ale przecież wrzesień kojarzy się głównie ze szkołą. Czas by coś o szkole.

Co to jest szkoła i po co? No cóż, z filozoficznego punktu widzenia istnieje wyraźna analogia między nauczaniem i wychowywaniem z jednej strony a rozmnażaniem ze strony drugiej. Kolejne pokolenia istot żywych czerpać muszą od przodków informację na temat siebie i otoczenia. Inaczej musiałyby zaczynać ciągle od zera. Bez przekazu informacji życie nie wyszłoby poza stadium najprymitywniejszych drobnoustrojów. Oj, ani by nie było widoczne, ani samo by nic nie widziało. Tak jak komandir Czapajew, którego spożywając samogon powiadamiany był ustawicznie przez ordynansa Pietkę, że czas się ewakuować, bo „bielyje idut”. „Pij, Pietka, pij” odpowiadał flegmatycznie nieustraszony czerwonoarmista, aż na koniec spytał podchwytliwie „i co, Pietka, widzisz ty co?”. „Ni chu-chu” Pietka na to (albo jakoś podobnie). „No widzisz, jak dobrze żeśmy się zakonspirowali”.

Jeśli wierzyć biologom, informacja o budowie organizmu i pewnych jego relacjach ze środowiskiem zawarta jest w genach, a te znów (u zwierząt wyższych, którym seks nie jest obcy) przekazywane są potomstwu w tzw. akcie poczęcia. (Oj, nie wiedzieliście, świntuszki, jak bardzo intelektualna jest to czynność). Ale informacje zapisane w DNA mają tę wadę, że bardzo wolno przyrastają, przez co potomstwo w zasadzie równie głupie jest, jak i rodzice. Żeby to naprawić, przyroda „wyewoluowała” człowieka, a ów sprytny ssak wymyślił język i kulturę. Dzięki językowi i kulturze ludzkie dziecię nie musi uczyć się wszystkiego na nowo: dotychczas zdobytą wiedzę przekazuje mu się słownie i pisemnie, a ono, jak ją już sobie przyswoi, ma szansę i czas, by ewentualnie poszerzyć horyzonty i dodać coś nowego do tzw. skarbnicy. Tak więc mały człowiek - w odróżnieniu np. od małego kota - ma w zasadzie możliwość bycia mądrzejszym od rodziców. Stąd też nie utrzymał się pradawny zwyczaj polegający na tym, że ojciec edukował synów, a matka - córki. W obawie przed przemądrzałymi dziećmi rodzice wpadli na pomysł powierzania edukacji fachowcom; w końcu lepiej, żeby to obcy kompromitowali się przed milusińskimi. I tak powstała szkoła.

A zaraz potem w teorii szkolnictwa dwie szkoły powstały. Pierwsza (nazwijmy ją ekologiczną) jest za tym, by proces nauczania-uczenia się maksymalnie zbliżyć do natury, czyli - do rozmnażania. Wiedza ma tu postać stałą (jak te chromoso-

my co to niechętnie ulegają mutacjom). Nauczyciele niby RNA automatycznie przenoszą informacje, kształtując ucznia wedle wypróbowanych wzorców. W ten sposób z kurzego jajka zawsze wykluwa się kurczę. Waler wychowawczy nauczania ekologicznego jest oczywisty: dzieci przyswajają tę samą tabliczkę mnożenia co rodzice, dzięki czemu autorytet przodków może pozostawać nienaruszony, życie rodzinne kwitnie, a tradycje są kultywowane. Skłonność dzieci do mądrowania się skutecznie jest ograniczana przez system odpytywania i ocen. Ponieważ mimo to pojawiają się tu i ówdzie początkujący jajogłowi, wymyśla się telewizję, by skierować energię młodzieży w kierunku tężyzny fizycznej, przeciwdziałania bezrobociu wśród policjantów oraz zdrowej ekonomicznie rywalizacji o bilety bankowe.

Druga szkoła jest przeciw naturze. Zakłada, że wiedza ciągle się zmienia, a nauczyciele niczym jakieś wirusy infekują uczniów nowościami, usiłując wywołać mutacje w odziedziczonych po przodkach duchowych genotypach. Z jajka od gęsi wziętego orzeł ma się wykluwać. Bachor ma stawiać dociekliwe pytania, na które dorośli nie znają odpowiedzi. Rodzice okazują się nierozgarnięci, popadają z tego powodu w stres, życie rodzinne szwankuje, a tradycje są kwestionowane. Piętą achillesową tego systemu są nauczyciele, którzy powinni się cały czas uczyć równie intensywnie jak ich wychowankowie, co jak wiadomo, jest niemożliwe z powodu narastającego z wiekiem zwapnienia mózgu. Rozwydrzona przez taki system oświatowy młodzież wdziera się w życie gospodarcze lub społeczno-polityczne, zadręczając dorosłych burzącymi spokoj innowacjami, albo też dopada komputerów i włamuje się do baz danych Pentagonu.

Z całą pewnością szkoła pierwsza jest łatwiejsza w zastosowaniu i cieszy się większą popularnością wśród obywateli. Sprzyja postawom konserwatywnym, rutynie, zapobiega wrzodom żołądka, ma niebagatelny udział w utwierdzaniu poczucia bezpieczeństwa. Szkoła druga wdraża w gorączkową gonitwę, wywołuje ciągle napięcie, zmusza do pogoni za wynalazkami, usprawnieniami, pomysłami - za sukcesem; nie daje spokoju. Są jednakże czynniki, które popychają społeczeństwa w owym niekomfortowym kierunku. Ludzkość się rozrasta w coraz szybszym tempie, a wraz z nią rozrastają się kłopoty: z powiększającym się zapotrzebowaniem na energię, żywność, środki komunikacji i z towarzyszącą temu wszystkiemu degradacją środowiska. Ktoś musi wymyślać w coraz to szybszym tempie coraz to nowe rozwiązania piętrzących się problemów. Szkoła musi zapewnić kadry, które pozwolą gatunkowi przetrwać.

Ale spoko! Nie wszyscy muszą się od razu uczyć. Księżna Diana świętej pamięci celowała ponoć w szkole jedynie w tańcach i pływaniu (patrz „Polityka” nr 37,

strona 34). Osoby mające rodziców dobrze sytuowanych materialnie lub „pozycyjnie”, a także te, które z wyczuciem wstąpiły w związki małżeńskie, nie muszą się specjalnie gorączkować. Problem dotyka raczej przyszłych pracowników najemnych. A że wiadomo z góry, iż nie wszyscy oni są w stanie sprostać wymaganiom czasów twórczego niepokoju, można przewidywać powstanie nowych nierówności społecznych. Pracownicy twórczy i zdolni do inicjatywy będą zarabiać na pewno kilka, niekiedy kilkanaście, a sporadycznie kilkaset razy więcej niż ich koledzy, którzy okażą się jedynie wykonawcami cudzych pomysłów. Oczywiście, trudno wyrokować, jak długo potrwa dochodzenie naszego społeczeństwa do tego futurystycznego ideału.

DLACZEGO MŁODZIEŻ JEST CORAZ GORSZA?

Pan Zdzicho dopadł mnie powiewając zielonymi „Przemianami”. Przeczytał felieton o szkole i chciał wiedzieć, czy moim zdaniem potomek jego winien uczęszczać do szkoły ekologicznej, czy - do tej, co przeciwna jest naturze. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że szkół takich w rzeczywistości nie ma, że to tylko takie myślowe modele, które mają obrazować pewne tendencje. „No to do jakiej tendencji by go zapisać?” pytał dociekliwie. Gdy wyjaśniałem, iż obie tendencje obecne są właściwie w każdej szkole i poszczególni nauczyciele przychylają się albo ku jednej, albo - ku drugiej, choć żaden w pełni żadnej z nich nie reprezentuje, zmarszczył się i wyglądało na to, że zrobi mi niedźwiedzia jak Iksińskiemu. Przypomniałem mu więc dyplomatycznie, że jest znany w środowisku jako zwolennik nowego porządku i zaproponowałem konsultacje z potomkiem. „Niech pan go spyta” - uściśliłem - „jaki model nauczania mu się bardziej podoba”. „Pytałem” - odparł pan Zdzicho - „i powiedział, że w ogóle szkoła mu się nie podoba”.

I tu pan Zdzicho niespodziewanie rozczulił się i wymknęło mu się kilkakrotnie: „moja krew”, „moja krew”... Potem się opanował, chrząknął znacząco, mrugnął lewym okiem i rzekł konfidencjonalnie: „rozumie się, obaj wiemy, że szkoły na nic, ale przecież ani pan tego w szmatławcu napisać nie możesz, ani ja dziecku powiedzieć”. Bąknąłem coś tam nieśmiało, by zaznaczyć, że niekoniecznie mam takie samo zdanie. „Ja też nie, jak Boga kocham” - zakrzyknął szczerze pan Zdzicho, bo w lot pojął, że rozmowa jest oficjalna. „Zresztą” - dodał - „ja się męczyłem w szkole, więc niby czemu główniarz ma mieć lepiej?”. „No więc” - kontynuował - „do której tendencji mojemu Jasiowi bliżej?”. „No cóż, panie Zdzichu” - powiedziałem - „na dwoje babka wróżyła; albo Jasio nie lubi szkoły, bo jest zbyt bystry i lekcje go nudzą, a w nauczycielach nie znajduje partnerów dorównujących mu intelektem, albo niejako odwrotnie - nie przypada mu szkoła do gustu, bo jest nieco tępawy lub trochę leniwy. A pan jak sądzi, jest nadmiernie bystry, czy nadmiernie ociężały lub niedostatecznie pracowity?”. Pan Zdzicho wpierszył się, poruszył nawet buciorem w stronę moich odcisków, jednakowoż zasepił się, wstrzymał i wymruczał: „no tak, kto to wie, czy we mnie się wdał, czy barzej w mamusię?”. Zaproponowałem, by rozważyć rzecz systematycznie, czyli po kolei. „Ma pan argumenty” - spytałem - „za tym, że Jasio jest zbyt bystry, czy raczej za tym, że bystrości mu brakuje?”. Okazało się jednak, że sprawa jest trudna, bo Jasio

niektóre polecenia tatusia wykonywał w mig i bezbłędnie, innym razem jednak nawalał w sposób haniebny. Uchwaliliśmy zatem, że trzeba Jasia przesłuchać na okoliczność jego walorów umysłowych. Na odchodnym spytałem złośliwie: „a nie obawia się pan, panie Zdzichu, że Jasio oddany w szpony szkoły przeciwnej naturze zacznie uczyć rodzicieli rozumu?”. „Panie Adamie” - roześmiał się spytany - "nic pan nie słyszał o metodzie Marka Jurka?”.

Już na wstępie okazało się, że Jasio jeśli nie bystry jest, to przynajmniej cwany. Z czystej ostrożności zażądał, by mu było wolno korzystać z pomocy eksperta w trakcie - jak to nazwał - negocjacji. (Pan Zdzicho na owo dictum sięgnął zrazu po metodę MJ, wszelako wspomniął, iż od czasu swego wyczynu z Iksińskim został idolem okolicznych wyborców jako egzekutor demokracji. Jak to zwykle bywa, żal idolowi aureoli, przeto woli powściągnąć naturalne chucie, niż ją stracić. Krótko mówiąc ekspert się ostał). A onym ekspertem okazała się Jasia koleżanka z klasy, przez tegoż Jasia nazywana „Zofiją”.

„Myśli pan, że Jasiak po ukończeniu tej pana antynaturalnej szkoły miałby co robić?” - zaatakowała Zofija. - „Kto by go zatrudnił, gdyby rozsiewał burzące spokój innowacje? Niech mi pan wskaże zakład pracy, który poszukuje takich, co wszystko przewracają do góry nogami! Jeśli by nawet taki pracodawca się znalazł, oznaczałoby to, że już padł jak szmaciarza koń i liczy na cudowne ocalenie. Co wtedy z niebotyczną pensją?”. „Ależ dziecko!” - broniłem się smętnie - „są jeszcze zakłady, które walczą z konkurencją i którym powinno zależeć na ciągłym doskonaleniu”. „Zakładom może tak” - brzmiała odpowiedź - ale nie pracownikom, których to dotyczy”. „Tym niemniej w przyszłości...” - próbowałem. „Przyszłość przyszłością” - warknęła Zofija - „a tymczasem lepiej iść w politykę, albo w przestępczość zorganizowaną”.

„Ale czy i tam wykształcenie i inteligencja się nie przydadzą?”. „W polityce i w mafii jest jak w kosmosie - trzeba podejmować szybkie decyzje. A czy pan wie, że Amerykanie badali kiedyś, jak inteligencja przydaje się astronautom? Wyszło im, że dobry astronauta - to trochę bardziej niż średnio inteligentny astronauta. Mało i średnio inteligentni piloci popełniają zbyt dużo błędów, natomiast geniusze zbyt wolno się decydują. Człowiek nadprzeciętnie inteligentny dostrzega po prostu o wiele więcej możliwości, zdaje sobie sprawę z o wiele większej ilości konsekwencji, a nade wszystko wie, że nie ma wiedzy stuprocentowo pewnej i to mu każe się namyślać, sprawdzać, kalkulować... Bystry choć nie genialny Jasio-polityk chyżo wystosowuje notę, na którą tak samo nie w ciemną bity Iwan, John czy Hans odpowiada ultimatum, na to Jasio

ogłasza mobilizację i jego kumpel Iwan, John czy Hans widzi, że z szybkim graczem sprawa, więc jeszcze szybciej daje odpowiedź... Wie pan, był kiedyś niejaki Bolesław, zwali go Chrobrym; przypuszczalnie, jak to wtedy przeważnie było z głowami państw, był ani „czytaty”, ani „pisaty”, a zobacz pan jak nawywijał: sprzął Ruskich, nie dał się Niemcom, podbił chwilowo Czechów, rządził Słowakami. A jego synek, Mieszko II, wielce był wykształcony, naumiał się łaciny ponoć, a nawet greki i co? Ruscy z Niemcami ustawili go do pionu, a potem to nawet Czesi spuścili mu wielkie lanie”. „Czesi? nie było to już za następców biednego Mieszku”. „Panie, a wie pan, jak długo wtedy telegramy szły?”.

Nie ma wątpliwości: Zofija musiała się jakoś otrzeć o szkołę przeciwną naturze. Jak to miło, kiedy w szkole uczą jeno tabliczki mnożenia.

KLONY POLITYCZNE

Ci nieobliczalni Szkoci sklonowali owcę (zapewne po to, by oszczędzić na inseminatorze). Zważywszy na skłonność naszych współobywateli do beczenia, łatwo o wniosek, że tylko krok dzieli nas od klonowania statystycznych Polaków.

Byłoby to bardzo dobre dla wszelakich sił politycznych: partii, stronnictw, zrzeszeń, związków i lobby. Można byłoby pobrać od lidera paznokcie albo i nagniotek, a potem wyprodukować na obraz i podobieństwo odpowiednią ilość egzemplarzy wyposażonych w prawo do głosowania. Cały potencjał inwestycyjny państwa poszedłby w kliniki położnicze (cieszcie się, lekarze) i żłobki; po paru latach rozwinięłoby się budownictwo przedszkoli, potem szkół; jeśli chodzi o budownictwo mieszkaniowe, zostawiłoby się klonom wolną rękę, nie szczędząc im bynajmniej tektury, pustych kanistrów, ulistnionych gałęzi i igliwia

Ale nie. Nie tędy droga. Klony liderów jełyby się polityki i hurmem obkoczyły dolne szczeble drabiny, zębami i pazurami torując sobie drogę ku górze. Każdy kto z wyżyn obsunąłby się ku grawitacji, niechybnie by został zdeptany lub uduşzony, a może i pożarty.

Znacznie lepiej klonować sympatyków. Sympatyk - wierny wyborca wie, że jego idol - lider jest mądry i dzielny; sam nie pcha się do władzy, a tylko z cielecym uśmiejchem wpatruje się w oblicze wybrańca swego.

No to teraz mamy następny problem: jak wytypować obywateli do sklonowania. Trzeba byłoby znaleźć takich wyborców, którzy reprezentują pożądaną średnią. Pana i panią. Zbadajmy zatem wizerunki statystycznych sympatyków w oczach ich politycznych rywali.

Sympatyk SLD to osobnik z nadwagą. Oczka ma małe, bo świńskie. Nos czerwony od podlewania idei. Garnitur przyrośnięty do ciała. Czerwony krawat, muszka bądź apaszka - niekoniecznie. U pasa wiszą mu czaszki nienarodzonych dzieci. Sympatyczka SLD to zaszusona wiedźma z haczykowatym nosem. W sklepach nuci „Międzynarodówkę”. W butonierce - prezerwatywa zamiast fiołków.

Sympatyk PSL to chłop żylasty i kołtuniasty. Oczka ma średniej wielkości, bo co mu je okowita zwięzi, to zdziwienie Europą – rozszerzy. Kufajkę chętnie zamienia na podkoszulek. Jest nastawiony prokreacyjnie, bo w gospodarstwie rąk do pracy nigdy dosyć. Sympatyczka PSL chustkę ma na głowie. W prawej kieszeni trzyma ksią-

żeczkę do nabożeństwa, w lewej - pigułki antykoncepcyjne, z których codziennie się spowiada. Patrzy koso.

A oto sympatyk ZChN-u. Ubrany jak kościelny w Boże Ciało. Do rogatywki ma zręcznie uczone skalpy nieprawdziwych Polaków. Oczy szeroko otwarte, bo a nuż trafi się po drodze kiosk z pornografią; obejrzy sobie, zanim wybuchnie oburzeniem. No proszę, a tu widzimy połowicę jego, ślepek ma zażawione od ciągłego wzdychania na ciężkie czasy i upadek obyczajów. Zadek wdzięcznie jej się kołysze, bo znowu przed wyjściem zapomniała nałożyć pas cnoty.

Takie klony podstawiliby wzmiankowanym ugrupowaniom rywale. Sobie przydzieliliby inne: przystojnego Europejczyka z energiczną inteligentką pracującą, pracowitego Sarmatę z zapobiegliwą jejmością, cnotliwego rodaka z Matką Polką. Jedno ich łączy: wyobrażenie o przeciwniku jako indywiduum paskudnym i śmiesznym.

Wróćmy do klonowania. Wypisuje się o nim w kółko i straszy. Że a nóż powielią Hitlera, Łukaszenkę, Kwaśniewskiego czy generała jezuitów. Ale z dotychczasowych badań wynika tylko tyle, że klon jest w miarę fizycznie podobny do dawcy. Wszystkie chyba doktryny psychologiczne i prawie wszystkie filozoficzne zakładają, że poglądów się nie dziedziczy (co najwyżej jakieś predyspozycje). Klon Hitlera może przystąpić do pacyfistów, klon jezuita stać się zajadłym ateistą, zaś klon Kwaśniewskiego - upodobać sobie profesję organisty.

OSZCZĘDNOŚCIĄ I PRACĄ

Październik to miesiąc oszczędzania i to go różni od pozostałych miesięcy, w których szaleje rozpasana konsumpcja. Bo z miesiącami jest jak z Polakami: tylko co dwunasty wywodzi się z okolic Poznania albo z królewskiego miasta Krakowa. Niektórzy zresztą hulacy październik wykreślili z kalendarza na stałe, przez co inni dla równowagi nie wypuszczają węża z kieszeni jak rok długi.

Pani prezes Gronkiewicz-Walcz chce nam zamienić życie w piękną październikową złotą jesień. W tym celu przydała nam procentów. Pan Zdzicho jest w kropce: z jednej strony jest pewien, że im więcej procentów, tym życie bardziej kolorowe, z drugiej zaś strony woli, by to on trzymał bank, a nie - by bank trzymał to, co jego. Jest jeszcze strona trzecia: gdyby pan Zdzicho zamiast dać bankowi do potrzymania gotówkę, nie powstrzymał swej żądz konsumowania i zaciągnął kredyt, wówczas to bank trzymałby pana Zdzicha w garści i ciągnąłby zeń soki. Wszystko ma swoje wady i zalety. Ten, co trzyma, ten ciągnie, ale z kolei ten, co ciągnie, długo się na nogach nie utrzyma, czego pan Zdzicho był nam wczoraj pouczającym przykładem. Kiedy analogicznym przykładem stanie się Narodowy Bank Polski, nie wiadomo; może wtedy, gdy się uda wykołegować z rządu Balcerowicza.

Balcerowicz wraz z kolegami z UW jest oszczędny, bo nie chce, byśmy łożyli na trzech wicepremierów, jednakowoż AWS nie uważa za właściwe oszczędzanie na ludziach pracy politycznej. I rzeczywiście, po co niedoszli wicepremierzy mieliby iść na bezrobocie i za nic pobierać zasiłek? Niech lepiej zapracują na życie. Gdyby tak zwiększyć jeszcze ilość stanowisk w rządzie, można by sięgnąć do zasobów siły roboczej w Słupskiem.

Jak już zauważyliśmy, jedenastu na dwunastu rodaków nie lubi oszczędności. Nie porwie się ich hasłem ciułaactwa. Szczególnie tych z Mazowsza. Wołał pewien Krzyżak-kutwa do Juranda ze Spychowa: „oszczędź!”, ale Jurand nie oszczędził, bo sarmacką miał naturę. W bliższych nam czasach Józef z SLD chciałby, by oszczędzono pobitych kamratów, ale zawzięty Marian z ZChN nie ma zamiaru dla komuchów zaciskać pasa i pozbawiać braci swoich sejmowych stanowisk; co z tego wyjdzie, nie wiadomo, bo gołębiego serca Marian z S. gotów rzucić komuchom przygarść okruszków. Może i słusznie, bo jakby zmarnieli, to nie byłoby się przeciw komu jednoczyć. Zawzięte okazało się też chłopstwo i nie oszczędziło Waldemara z PSL odzierając go z prezesury, niezbyt oszczędnie postąpił też Józef z Zielonej Góry sam składając buławę.

A tymczasem warszawiacy twierdzą, że poznaniacy i krakusy po staremu noszą papier toaletowy do prania. Ciekawe, które proszki są tu najporęczniejsze? A co z wybielaczem? Pan Zdzychu twierdzi, że to nie jest prawda z tym praniem, bo papier nie znosi wirowania. Widać, że próbował i wie, co mówi. On z kolei sądzi, że ci z Kongresówki wykorzystują banknoty o drobnych nominałach. Ale nie są aż takimi Sarmatami, za jakich chcieliby uchodzić, bo również usiłują puścić je w obieg wtórny. Gazety nazywają ten proceder praniem brudnych pieniędzy. Och te stereotypy...

Trzeba się zastanowić, jak uczcić miesiąc oszczędzania. Najprościej byłoby złożyć jakąś sumę w banku, ale do tego trzeba mieć tę sumę. Jak się nie ma, a uczcić się chce, należałoby znaleźć kogoś, kto sumę ma i skłonić go do złożenia jej w banku. Jeśli to nieznajomy, może nas nie posłuchać z braku zaufania, więc dla uniknięcia długich przekomarzań najefektywniej jest zdzielić delikwenta czymś w łeb. Literatura zaleca skarpetę z piaskiem, ludowcy - kłonicę, zaś folklor miejski - gazurkę. Po zdzieleniu podejmujemy pieniądze od klienta i wpłacamy je na konto w NBP. Trudno założyć konto nieznajomej osobie, zatem z konieczności musimy firmować depozyt osobistymi danymi personalnymi. Nie wypada wpłacać tak pozyskanych środków na PCK czy na rzecz powodzian, nie wiemy przecież, czy klient byłby sobie tego życzył, a my reprezentujemy bądź co bądź minimum kultury.

Inaczej ma się sprawa, gdy klienta znamy lub otaczają nas osoby postronne, które nasze wysiłki gotowe opacznie zrozumieć. Wtedy trzeba jednak użyć perswazji, choć to pracochłonne. Perswazja wymaga na ogół odpowiedniej oprawy; ludzie bywali perswadują najchętniej w lokalu, w pozycji siedzącej, w miłej atmosferze biesiady. Znajamiamy klienta z naszym życiem codziennym wypełnionym ostatnio działalnością polityczną na szczeblu centralnym bądź samorządowym. Naświetlamy mu trudną sytuację materialną uczciwego polityka, który nie ma czasu na pozyskiwanie środków, bo akurat zajęty jest organizacją przetargu na roboty publiczne i rekrutacją świeżych kadr do ważnych urzędów. Z pewnym oporem przystajemy na naleganie rozmówcy, byśmy przyjęli propozycję zasilenia kasy partyjnej.

Alternatywną procedurę podsunęła nam sama pani prezes. Polega ona na uświadomieniu naszego interlokutora co do naszej aktywności ekonomicznej. Właśnie założyliśmy bank o zachęcającej nazwie (np. Bezpieczna Kasa Oszczędności), który specjalizuje się w astronomicznych oprocentowaniach wkładów współobywateli. Zachęcamy rozmówcę, jego krewnych i znajomych do zakładania kont. Pozyskane kwoty lokujemy w bankach szwajcarskich bądź luksemburskich, by uratować ojczyznę przed nawisem

inflacyjnym. Wkrótce sami wyjeżdżamy w ślad za nimi, aby dopilnować, by dorobek ludzi, którzy nam zaufali, nie zmarnował się na inwestycje w bogatych krajach Zachodu, lecz dalej służył rodakom, tj. nam oraz naszym krewnym i ewentualnym znajomym. Wspaniałomyślnie rezygnujemy z emerytury, którą pracowicie wypracowywaliśmy dla dobra ZUS-u.

GRZYB A SPRAWA POLSKA

Przeróżne okazy znajdujemy w gąszczach jesiennych. Tu przycupnął jakiś stary grzyb, tam pręży się kozaczek albo gąska; ówdzie grzyb płowy sąsiaduje z czarnym łebkiem, zaś śliniący się maślaczek - z obleśnym sromotnikiem; pod sosną pieprznik nadaje pieprzne dowcipy, tak jak by chciał zagłuszyć rydzyka spod jałowca. Wśród grzybów taka różnorodność jak i wśród ludzi. Czy może dziwić, że relacje pomiędzy grzybami, między grzybami a ludźmi, a także między ludźmi ze względu na grzyby odzwierciedlają naszą polską rzeczywistość?

Grzyb a obyczaj staropolski

Pan Zdzicho uwielbia grzybobranie z nagonką. Zabiera w knieje liczną swą rodzinę, zasiada pod dębem na rybackim stołeczku i goni swoich po okolicznych chaszczach, by mu napędzali grzybostan do wielkiego kosza. Sam pociąga sobie wesoło z piersióweczki to, co mu ostatnio napędził szwagier. Kosz się napęlnia, gdy trzecia piersióweczka pustoszeje. Za kierownicą siada synek Jasio, a pan Zdzicho śpiewa popularne pieśni grzybiarskie, a gdy tych zbraknie - również myśliwskie, rybackie i nieprzyzwoite.

Grzyb a wymiar sprawiedliwości

Inaczej sobie poczynił niejaki Antoni N. zwany w rodzinnej wsi „Rekietierem”. Ten amator grzybów przechadzał się po lesie z dwururką i udając gajowego rekwirował napotkanym grzybiarzom ich plon (zazwyczaj połowę). Początkującym zbieraczom z miasta opróżniał reklamówki pod pretekstem, iż rozpoznał w ich zdobyczy nadzwyczaj trujące okazy, innym wlepił mandaty za niszczenie ściółki albo za nielegalny wjazd pojazdem mechanicznym na teren leśny. Krewki z natury, nie cierpiał oporu, przeto też ustrzelił kilku najbezcześniejszych niszczycieli środowiska.

Przed sądem tłumaczył się, że należy do zielonych i nie może ścierpieć wandalii płoszących zwierzynę. Jego znajomy, gajowy Zenon J., zeznał pod przysięgą, iż oskarżony uwielbiał faunę, a w szczególności jedną wiewiórkę, która padła po spożyciu chlorowanej wody z kranu podanej jej podstępnie przez chuliganów z miasta w butelce po „Żytniej” (do Żytniej” była przyzwyczajona); ta tragedia (potwierdzili to biegli psychiatrzy) wywarła na panu Antonim piorunujące wrażenie i wprawiła go stan perma-

mentnej pomroczości (na przemian jasnej i ciemnej), przez co nie jest poczytalny do dziś. Że rzeczywiście nie jest, sąd mógł się przekonać naocznie, gdy oskarżony odgryzł palec woźnemu sądowemu.

Lekarz z ośrodka zdrowia wystawił dodatkowo zaświadczenie, że Antoni N. jest nieuleczalnie uzależniony od grzybków w occie, a nie jest w stanie pozyskiwać runa osobiście, bo schorzały kręgosłup uniemożliwia mu schylanie. Sołtys znał go jako jedyne go żywiciela Genowefy N., zgrzybiałej staruszki nieporadnej życiowo, potrafiącej jedynie wytwarzać słoiki z grzybkami w occie. Brat przypomniał sobie, że Antek w dzieciństwie chciał być leśnikiem.

W świetle powyższych ustaleń sąd słusznie zbagatelizował upierdliwie podnoszoną przez prokuratora okoliczność, że oskarżony jest recydywistą, bo wszedł w posiadanie dubeltówki po zabójstwie Grzegorza W., jej poprzedniego użytkownika. Zresztą okazało się, że Grzegorz W. był kłusownikiem, zaś Antoni N. jako leśnik z przekonania miał prawo położyć go trupem w samoobronie.

Sprawę podsumował obrońca przedstawiając swego klienta jako człowieka schorowanego fizycznie i psychicznie, a przy tym zbyt biednego, by mógł grzyby skupować i zbyt dumnego, by o nie żebrac. Ponieważ sąd się wahał, a prokurator wykazywał zajadłość, mecenas sięgnął po broń ostateczną i udowodnił, iż ofiary Antoniego N. nie były mu wcześniej znane, a ponadto należały do grona osób zupełnie przeciętnych, nie karanych, bez związków ze światem przestępczym i miernie zarabiających. Stało się jasne, że zostali zgładzeni nie dlatego bynajmniej, że zabójca był egzekutorem mafii, ani też z zemsty i nie dla zysku. Pobudki Antoniego N. musiały być czyste, tak więc sąd nie miał wyjścia i wypuścił go do domu. Przewodniczący składu upraszał go tylko serdecznie, by ładował dwururkę raczej kaczym śrutem niż brenekami.

Dodajmy, że pan Antoni padł niedługo potem ofiarą grzybiarza, który podał mu w charakterze okupu kilka muchomorów sromotnikowych zręcznie podretuszowanych przez naturę na wzór i podobieństwo czubajki kani. Ponieważ grzybiarz mieszkał cztery przecznice od jednej z ofiar Antoniego N., udowodniono mu zbrodnię z premedytacją i zasądzono na dożywocie. Szczególnie obciążający był dlań fakt, że czyn jego miał wszelkie znamiona samosądu

Grzyb a wielka polityka

Na czym polega zbieractwo grzybne? Chodzi o to, by zgromadzić taką koalicję okazów, która nie zawierałaby owocników szkodliwych dla ustroju konsumenten-

ta. Dobry grzybiarz to taki, który potrafi sformułować i zastosować kryterium odróżniania grzybów niepożądanych, dobrych i szczególnie smakowitych. Czyż nie ma tu analogii do polityki? Decydujemy na przykład, że nie zbieramy czerwonych kozaków i muchomorów, odgarniamy na bok przaśne zielonki i zaropiałe purchawki. Koncentrujemy się na prawdziwkach, rydzykach i borowikach, dobieramy do smaku maślaków z kozłakami. Okazy rozlazłe, miękkie i przejrzale rozwieszamy na tylnych ławkach sejmu i senatu, by stwardniały i nabrały aromatu. Owocniki młodsze i twardsze wrzucamy do gara z napisem: parlamentarne stanowiska funkcyjne, zaś szczególnie urodziwe grzybki umieszczamy w przejrzystym gabinecie i zaprawiamy octem egzekutywy. Jedyne problem to - jak uniknąć robaczywków.

JESIENNĄ PORĄ SZYBY NIEBIESKIE OD TELEWIZORÓW

Jesień zrobiła nam się smutna, a nawet - śnieżna. Coraz gorzej ze spacerkami, nie pochodzimy już na grzybki. Nie za bardzo da się wyskoczyć w kapciach do sąsiada albo w podkoszulku do narożnego baru. Nadchodzi pora długich wieczorów przy telewizorze. Z tej okazji warto może przypomnieć historię najpopularniejszego środka masowego przekazu.

Telewizja pierwotna

Małolaty nie pamiętają czasów telewizji czarno-białej, kiedy to odbiornik można było tylko albo włączyć albo wyłączyć. Teoretycznie po włączeniu można było jeszcze regulować siłę głosu lub jasność obrazu, ale decydowali się na to jedynie osobnicy niezrównoważeni emocjonalnie albo tacy, których telewizor zaskoczył głęboką czernią albo oślepiającą jasnością, ponurą ciszą albo wesołym porykiwaniem. Regulacja odbiornika kończyła się często kompletnym rozstrojeniem. Bardziej efektywne było kilkakrotne uruchamianie i odcinanie od sieci połączone z waleniem pięścią w obudowę. Najbardziej zresztą upodobał sobie pierwotny telewizor zaskakiwanie podglądacza pasami poziomymi, pionowymi bądź też ukośnymi. Pasy takowe - podobnie do analogicznych wzorów na szybach kabin natryskowych - wzmagały zainteresowanie ukrytym obrazem pozwalając na wiele domysłów bez dania pewności. Analogia z łaźnią nie zanikała na ogół, gdy po rozpaczliwych wysiłkach obraz poprawny udało się użytkownikowi uzyskać: okazywało się zazwyczaj, że był o wiele mniej atrakcyjny niż to, co podsuwała rozpasana wyobraźnia.

Bo też w telewizji pierwotnej ciekawe audycje były wielką rzadkością; zdarzały się góra raz na tydzień. Tak denerwujące niektórych dzisiejsze reklamy, przeniesione za pomocą maszyny czasu, byłyby wówczas najdowcipniejszymi pozycjami w repertuarze; niestety, audycji nie przerywało się wówczas reklamami, lecz planszami z napisem „Przepraszamy za usterki”. Dla ułatwienia dodajmy, że dostępna była tylko jedna telewizja z tylko jednym programem.

W tej sytuacji posiadanie telewizora było po prostu oznaką pewnego statusu. Nie oglądało się go, choć włączało. Służył jako mebel organizujący życie towarzyskie. Kto chciał, ten bez skrupowania toczył towarzyskie pogaduszki podczas jego aktywności, a ci, których ludzkie otoczenie nudziło, zamykali się w sobie i udawali, że śledzą z zajęciem cienie na ekranie. Chcąc domowników skutecznie zdenerwować, pro-

wadziło się po prostu donośny komentarz do akcji toczącej się za szklaną szybą. Z żalem stwierdzamy, iż taka organizacja życia wieczornego przetrwała telewizję pierwotną i gnębi nas do dziś.

Telewizja dawna

Za wczesnego Gierka nastąpiły znaczące przemiany. Obraz czarno-biały stopniowo był wypierany przez kolorowy. Pierwsze kolorowe telewizory imponowały swą potęgą; trenerzy klubowi kwalifikowali narybek do sekcji podnoszenia ciężarów kładąc kandydatom umieszczać takie odbiorniki na wysokiej półce. W standardowym mieszkanku blokowym pozwalały one oszczędzić na meblach, jako że zajmowały całą ścianę. Ponieważ kolory naturalne są z natury przytłumione, po pewnym czasie stają się niedostrzegalne przez swą buraczą pospolitość; tak więc po pierwszym wstrząsie telewizor kolorowy emanujący naturalne barwy spowszedniałby i wydawał się niczym specjalnym nie różnić od czarno-białego. Aby tego uniknąć, konstruowano go tak, by dążył w kolorystyce bądź to do przewagi czerwieni, bądź zieleni albo i trupiej niebieskości.

W tym samym okresie telewizja wzbogaciła się o drugi program. Odbiornik można było już nie tylko włączyć i wyłączyć, ale i wybrać jeden z dwu kanałów. Odbiło się to, rzecz jasna, na obyczajowości. Głowę rodziny poznawało się teraz po tym, że to ona decydowała, który program ma oglądać cała sfera domowników. Specjalną sytuację stwarzał brak pilota. Tak, tak, młodzieży, pilot natenczas był urządzeniem nieznanym! Obowiązywały w tych okolicznościach dwie szkoły. Wedle jednej do odbiornika podchodzić miała prawo jeno głowa rodziny, a więc to ona zmieniała kanały. Czasami cedowała to prawo na kogoś innego, co było formą wyróżnienia i świadczyło o bezgranicznym zaufaniu. Przeciwnie działo się w szkole wtórej, która zakładała, że głowa rodziny jest od obioru strategii, zaś reszta - od wykonywania poleceń. Tutaj kanały zmieniał osobnik najniższy w hierarchii, często - za karę, podczas gdy pozostali rozpierali się na siedziskach i komentowali jego nieudolność i ślamazarność.

Wieczorki telewizyjne wzbogaciły się o dyskusje na temat tego, który z programów godzin jest oglądania. Zmian nie dokonywano jednak często, bo z jednej strony grzebanie przy telewizorze wymagało powstania, a więc wysiłku fizycznego, a ze strony drugiej na ogół na obu kanałach szły równie nudne audycje. Ulubioną formą rozdrażniania współoglądaczy stało się optowanie za tym z programów, o którym ci pozostali nie chcieli słyszeć.

Telewizja współczesna

Dziś mamy telewizory samoregulujące się i wyposażone w piloty. Anteny satelitarne i telewizje kablowe spowodowały dostępność co najmniej kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu programów.

Wszystkie kanały starają się o to, by być maksymalnie atrakcyjnymi dla tzw. przeciętnego widza. Stąd też widz ów ma wielkie problemy z wyborem w odróżnieniu od rozwydrzonego konesera poszukującego artystycznych wrażeń, który najczęściej zmuszony jest wyłączać telewizor, nie znajdując w nim stawy dla wydelikaczonego żołądka.

Pojawiły się przeto nowe formy obyczajowości. W związku z osłabieniem autorytaryzmu i ekspansją demokracji co najmniej kilka osób zgromadzonych przed odbiornikiem uważa, że ma prawo decydować o tym, co należy oglądać. W środowiskach stawiających na solidaryzm pilot krąży w koło niczym fajka pokoju. Każdy na minutę włącza pożądaną przez siebie audycję, a potem pozwala delektować się następnym w kolejce. Ten sposób oglądactwa rozwija umysłowo, bo widz musi wyobrażać sobie postęp obserwowanej fabuły w kilkuminutowych przerwach, podczas których jego zmysły atakują zupełnie inne obrazy. Inaczej to wygląda w środowiskach preferujących konkurencję i wolną grę sił. Toczy się tam bezpardonowa walka o pilota pełna podstępów, usypiania czujności i nagłych ataków. Hartuje się pokolenie ludzi ze stali, którzy wprowadzą nas w dwudziesty pierwszy wiek.

NIEPODLEGŁOŚĆ

Święto państwowe jest okazją do refleksji nad historią. Szczególnie do refleksji nad polską niepodległością. Niepodległość, inaczej i bardziej uczenie zwana suwerennością, to po prostu niezależność państwa od czynników zewnętrznych (innych państw czy instytucji ponadpaństwowych) oraz od czynników wewnętrznych (np. od nadmiernie samodzielnych prowincji).

Powyższa definicja wymaga pewnych dookreśleń. Jeśli państwo przyłącza się do jakiegoś związku państw dobrowolnie, to pomimo tego, że rezygnuje z jakiejś części swej niezależności na rzecz organów ponadpaństwowych (np. Komisji EWG czy dowództwa NATO), nadal jest uważane za suwerenne właśnie dlatego, że uczyniło to dobrowolnie i zawsze może się z własnej woli wycofać. Podobnie jest z suwerennością wewnętrzną; jeśli Sejm sam z siebie uchwali szeroką autonomię dla takich regionów jak Śląsk czy Wielkopolska, będzie to decyzja suwerenna. Państwo traci niepodległość, gdy ktoś z zewnątrz lub wewnątrz jest w stanie wymuszać na jego organach korzystne dla siebie decyzje wbrew ich woli.

Przyjrzyjmy się zatem, jak to było z naszą suwerennością w różnych okresach dziejów. W dzisiejszym odcinku napocznjemy wieki średnie.

NIEPODLEGŁOŚĆ ZA PIERWSZYCH PIASTÓW

Polska wypłynęła na szerokie wody europejskiej historii w wieku dziesiątym i od razu natknęła się na problemy z niepodległością. Przejawiały się one niejako na trzech płaszczyznach. Po pierwsze, w owych wesołych czasach każdy władca bez przerwy kombinował, jak by tu najechać innego władcę, pobić mu jego drużynę, zarekwirować skarb, zmusić do uznania zwierzchności i opodatkować na przyszłość. Wszyscy przy tym, oczywiście, wyznawali zasady Kalego, wedle których ich napadać, to być niedobrze, ale jak oni napadać, być doskonale. Polacy niczym się tu nie wyróżniali i raz im było dobrze, gdy się udało ograbić sąsiadów, a innym razem strasznie pomstowali, gdy sąsiadowi trafiło się przetrzepać im siedzenie. Tego rodzaju polityka była wtedy właściwie koniecznością, bo władza panujących opierała się na siłach zbrojnych, które trzeba było utrzymywać; pożywienie, broń i pojazdy samobieżne na owies w większej części dało się wycisnąć z ludu pracującego osad i wsi, lecz przedmioty zbytku, bardziej zaawansowaną technikę bojową czy cenne kruszce najlepiej było zrabować, bo kupo-

wanie wychodziło za drogo. Książęta czy królowie parli do wojen, bo zwycięska kampania podnosiła ich zewnętrzny i wewnętrzny prestiż oraz zapełniała skarb; wojacy rwali się na sąsiadów, bo to była okazja do wzbogacenia się lub awansu. Jak widać, wszyscy wokół czyhali na polską niepodległość (tak jak Polacy na ich), ale wbrew pozorom nie było to zbyt groźne, bo siły były dość wyrównane, a poza tym jak tylko jeden z partnerów owej gry zanadto się wzmocnił, to pozostali się przeciw niemu jednoczyli; gdy więc przycisnęli naszych Ruscy, to aktualnie rządzący Piast w te dyrdy pędził po sprawiedliwość do Czechów lub Niemców, a gdy krzywdzili nas źli Germanie, tośmy się zaraz zaprzyjaźniali z fajnymi potomkami Czecha czy Rusa i tak w kółko. Czasem, co prawda, ci wszyscy obłudnicy rzucali się bezwstydnie na nas pod obrzydliwym pretekstem, żeśmy tym czy tamtym zagarnęli jakieś sploty ziemi, przez nieuwagę spalili jakiś gród albo zrzucili z tronu któregoś z książąt, który nijak się nam nie podobał.

Inny problem niepodległościowy stwarzały tendencje uniwersalistyczne reprezentowane przez Papiestwo i Cesarstwo. Zarówno papieże jak i cesarze rzymscy pretendowali do zwierzchności nad pozostałymi władcami. Jednakże były zasadnicze różnice między tymi dwiema siłami. Papieże nie dysponowali żadną znaczącą siłą zbrojną, wobec czego ich działanie przypominało nieco politykę Unii Europejskiej czy NATO; de facto oczekiwali właściwie dobrowolnego przyłączenia się państw do swego „stronnictwa” i rezygnacji z części niezależności.

Nieco gorzej było z Cesarstwem. Cesarzami byli wtedy królowie Niemiec wybierani spośród książąt niemieckich. Porównanie potencjału cesarskiego z polskim prowadziło do różnych wniosków. Niemców było kilkakrotnie więcej niż Polaków - to jedna strona medalu. Ale Niemcy składały się z kilku księstw i margrabstw, których władcy często byli ze sobą skłóceni. Piastowie sprzymierzali się z jednymi przeciw drugim. Czasem jednak cesarzom udało się wziąć większość w garść i wyprawić na kraj Polan. Ale rzadko z sukcesem. Fakt, że Niemców było więcej, ale przecież nie dało się ich wszystkich pognać za Odrę tak, że w końcu na wraże ziemie wkraczało ich raptem kilka tysięcy, a przeciw nim prócz wojsk „zawodowych” występowało popolite ruszenie wszystkich mieszkańców. Grody polskie (te większe) były przy ówczesnej technice nie do zdobycia. Wojny Polaków z największą ówczesną potęgą toczyły się więc ze zmiennym szczęściem. Czasem udało się skłonić któregoś Piasta do płacenia daniny czy rezygnacji z korony, co oznaczało utratę suwerenności. Jednak oporni Polacy płacili raz czy drugi, a potem zapominali łaciny albo dokumenty zżerały im myszy i

okazywało się, że nikt nic w całym Gnieźnie czy Poznaniu nie wie o żadnym poddaństwie wobec cesarza.

Przyjęło się wówczas, że państwo „pierwszej kategorii” - czyli mniej więcej suwerenne według dzisiejszych pojęć - to takie, którego władca ma tytuł królewski, a biskupi podlegają miejscowemu arcybiskupowi. Arcybiskupstwo gnieźnieńskie i koronę załatwił już Bolesław Chrobry, choć później Polska przejściowo traciła jedno lub drugie. Jednakże przez większość dziesiątego i jedenastego wieku udawało się utrzymywać zewnętrzną suwerenność.

Najpoważniejszą groźbą dla suwerenności Polski pierwszych Piastów były podziały kraju na dzielnice. Zaczęło się to już po śmierci Mieszka I i trwało cały czas; kolejni Piastowie co rusz dzielili kraj między liczne potomstwo. Przez sto i kilkadziesiąt lat udawało się jednak zawsze jednemu z dzieciaków wykołegować braci, wyprawiając ich na drugi świat albo na bezpowrotne stypendium zagraniczne, dzięki czemu trwał dość duży i silny organizm polityczny. Aż do pamiętnego testamentu Bolesława Krzywoustego. Ale o tym opowiemy w ciągu dalszym.

DALEJ O SUWERENNOŚCI POLSKIEJ

Na początek pomądrzymy się trochę w sposób ogólny, zwany przez snobów „teoretycznym”. Niektórzy zaciętrzewieni rodacy mniemają, że kraj jest suwerenny wtedy, gdy robi, co chce, kierując się tylko własnym interesem, nie oglądając się na interes sąsiadów. Ale takiego kraju nie ma. Jest tu analogia do suwerenności osoby ludzkiej. My też jesteśmy suwerenni; jeśli nam się zachce, to narobimy sąsiadowi na wycieraczkę, albo też naplujemy w pracy dyrektorowi na biurko. Tym niemniej nie robimy tego, a przynajmniej robimy to rzadko. Tak samo jest z państwami. Oczywiście, im państwo większe i bardziej zasobne, tym na więcej może sobie pozwolić. Ale na pewno nie na wszystko.

Wróćmy jednak do historii. Rozbicie dzielnicowe po śmierci Bolesława Krzywoustego najpoważniej od czasów Mieszka I zagroziło suwerenności Polski. Najpierw nasz kraj przestał być zwartym, jednolitym państwem. Stało się tak, bo regionalni władcy wielkopolscy, śląscy, małopolscy, mazowieccy czy pomorscy dążyli do niezależności, a ten z książąt, który aktualnie miał tytuł prawny lub ambicję przewodzenia pozostałym, nie miał na ogół dość sił, by na dłużej wymusić dla siebie posłuch.

Już od początku naszych dziejów walczący ze sobą Piastowie starali się pozyskiwać przeciwko krewniakom zagraniczną pomoc. Jednakże wcześniej nie było to tak niebezpieczne, gdyż kraj, który wspomógł zwycięskiego członka kłótlivej piastowskiej rodziny, zyskiwał silnego sojusznika, z którym musiał się liczyć, a więc raczej nie próbował go uzależniać, lecz skłaniać do tego, by w rewanżu pomógł z kolei jemu (wyjątkiem byli cesarze, którym wypadało żądać podległości od sąsiadów, bo w myśl rozpowszechnionej doktryny, cesarstwo miało być zbrojnym ramieniem chrześcijaństwa). W dobie trwałego rozbicia dzielnicowego sytuacja stała się inna: ktoś z zagranicy wspomagający lokalnego polskiego księcia wielkiego sojusznika nie zyskiwał, a przez to mogło mu się bardziej opłacać uzależnienie gościa na stałe. Na szczęście dla Polski wschodni sąsiad, czyli Ruś tkwiła w takim samym rozbiciu. Niemcy, jak wiadomo, w ogóle się aż do końca XIX wieku nie potrafiły zjednoczyć, a poza tym do XIII wieku tak naprawdę z Polską nie graniczyły; zresztą u nich zachodziło trochę podobne rozczłonkowanie, co objawiało się tym, że lokalni niemieccy władcy stopniowo przyzwyczajali cesarza do tego, że ma coraz mniej do gadania, iż jak się w końcu przyzwyczał, to wyszło na to, że gadać sobie może tylko we własnych rodowych włościach (choć trzeba przyznać, że jakiś tam autorytet długo jeszcze zachowywał). Gwoli sprawiedliwości

trzeba jednak zaznaczyć, że na początku okresu, którym się tu zajmujemy, cesarstwo było jeszcze silne, stąd też bywało, że potomkowie Krzywoustego hołd mu składali. Później jednak sąsiedzi z zachodu stanowili zagrożenie już tylko w chwilach zupełnego bałaganu na ziemiach polskich. Ale w wyniku osłabienia Polski problemem (choć nie zagrożeniem) stali się inni sąsiedzi, na których dotąd nikt nie zwracał uwagi, a mianowicie Prusy i później Litwa.

Z Prusami to było tak, że lubili sobie napadać na wszystkich dookoła w poszukiwaniu łupów (byli po prostu na tym etapie, co Polacy za wczesnych Piastów - mówiliśmy o tym poprzednim razem). Z kolei na nich nie bardzo się opłacało napadać, bo chowali się gdzieś pomiędzy mazurskimi jeziorami tak, że by ich dopaść, trzeba było mieć kartę pływacką lub uprawnienia do żeglugi śródlądowej, a te przymioty wśród rycerstwa polskiego stały się popularne dopiero w drugiej połowie naszego wieku. Dlatego też niejaki Konrad Mazowiecki (nie mylić z Tadeuszem) napuścił na nich niemiecki zakon rycerski nazwany przez rodaków „Krzyżakami”. Ci Krzyżacy przybyli przez Morze Śródziemne z Palestyny, dokąd wprzód dopłynęli tąże samą drogą, i osiedlili się na Węgrzech, skąd ich tamtejszy król migiem spławił. Po takich wyczynach mogło się wydawać, że są obeznani z wodnym żywiołem, więc może dlatego wpadli w oko Konradowi. No i faktycznie radzili sobie z Prusami, choć nie imponowali z zarania liczbą, bo zgrabnie dało się ich pomieścić na jednej tratwie.

Ale przestańmy się nabijać z Prusów i Krzyżaków i po tym przerywniku powróćmy do wielkiej polityki. Co się w końcu okazało? Że ziemie polskie zjednoczyli Czesi, którzy wtedy doszli do znacznej siły (ich królowie jęli później pretendować do cesarskiego tronu). Zjednoczyli, ale nie całe. Pomorze Zachodnie odpadło, bo tamtejsi książęta nie czuli się związani z Polską; pamiętali pewnie jak to Krzywousty przemawiał do nich za pomocą broni białej. Ziemię Lubuską po prostu sprzedano. Zjednoczenie pod berłem Wacławów oceniano potem jako zagarnięcie ziem polskich przez Czesy. Nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić, a najbardziej księżę Władysław o przydomku „Łokietek”. Ale o tym za jednym z następnych razów.

Dodajmy tylko, że poważne siły społeczne zaczęły wtedy przedkładać spokój zjednoczonego królestwa nad ciekawe życie w Polsce podzielonej. Zależało na tym mieszczaństwu ze względu na bezpieczeństwo handlu i rzemiosła, jednakowoż ta grupa opowiadała się w dużym stopniu za królami czeskimi (fakt, że teoretycznie tym królom powinno zjednoczenie przyjść najłatwiej). Zależało rycerstwu, bo zaczęło ono żyć nie tylko z wojny, ale i z uprawy roli, na którą ściągano kolonistów garnących się

najchętniej tam, gdzie było jako tako bezpiecznie. Zależało duchowieństwu, które przechowało i propagowało pojęcie Korony Polskiej jako całości ponad podziałami i które łączyło - jako jedyne - także Koronę do kupy poprzez jednolitą organizację, jaką stanowiły biskupstwa zjednoczone w arcybiskupstwo gnieźnieńskie.

PODATKI A SPRAWA NARODOWA

Tak, wiem, nie każdy lubi historię, bo starawa jest nauczycielka życia. Mnie tam trochę ciągnie - może ze względu na wykształcenie. Obiecuję, że ostatni raz - do następnej wielkiej rocznicy. Ale w spojrzeniu na dzieje zawsze denerwowały mnie stereotypy. Obywatele mojego pokolenia - nie będący profesjonalnymi historykami - wychowali się na tekstach Sienkiewicza, Kraszewskiego i innych, którzy wyżej wymienionych naśladowali i nabrali pewnych przekonań, które nie całkiem przystają do rzeczywistości. Zaraz o tym pomówimy, ale wpierw nawiążę do dwóch poprzednich tekstów tylko po to, by stwierdzić, że doszliśmy w naszych dumaniach o suwerenności do czasów Łokietka i dalej nie ma co mówić. Sam Łokietek miał jeszcze trochę kłopotu z niezależnością, ale została ona ugruntowana za jego syna, Kazimierza Wielkiego i do osiemnastego wieku nie była zagrożona, jeśli nie liczyć tzw. potopu szwedzkiego. Co prawda, kosztowało to Koronę Polską utratę wielu ziem.

„A Krzyżacy to nie było zagrożenie?!” zawoła ktoś, kto naczytał się Sienkiewicza. I tu dochodzimy do tematu mitów historycznych. Nasza potoczna świadomość historyczna została właściwie ukształtowana w dziewiętnastym wieku przez wielkich pisarzy, o których już wspomniałem.. Ale trzeba pamiętać, że pisarz to nie naukowiec; nie pisze po to, by pokazać, jak rzeczywiście było, lecz po to, by przez pryzmat przeszłości odnieść się do czasów współczesnych. Kraszewski, Sienkiewicz i inni im podobni tworzyli wówczas, gdy Polski nie było, bo została podzielona między trzech zaborców, kiedy tyle powstań upadło. Nic dziwnego, że widzieli Polaków jako naród opadnięty przez wilcze stada zajadłych wrogów; sam w sobie porządny, pokojowo usposobiony i szlachetny, zmuszony przeważające siły odpierać heroicznym męstwem; przegrywający, bo brany zdradą i wygrywający, gdy zdobędzie się na nadludzki wysiłek. Najbardziej jednak na widzenie przeszłości wpływała wtedy eksplozja nacjonalizmu. Dziewiętnasty wiek to epoka, w której forsowano pogląd, że historia to zmagania narodów, że narody mają swoje charaktery, swego „ducha”, że ów duch rozwinąć się może w pełni tylko we własnym państwie. Gloryfikowano naród własny przez kontrastowanie jego zalet z wadami narodów sąsiednich. Takie nastawienie przetrwało pierwszą połowę dwudziestego wieku, zostało podsycone w czasie drugiej wojny światowej i dopiero potem jęło przygasać, kiedy - paradoks - refleksja nad wymienioną wojną

uświadomiła wielu, że dalsze trwanie w tych stereotypach to najlepsza gwarancja wojny następnej.

Dzieje średniowieczne wcale nie były zmaganiem narodów. Polacy nie zmagali się z Niemcami, Rusinami czy Czechami. Nie było wtedy pojęcia narodu, najwyżej rodziły się zaczątki zachowań, nastawień, czy przekonań, które później doprowadziły do takiego pojęcia. To władcy Polski, Czech, Rusi i Niemiec usiłowali jeden drugiego jeśli nie podporządkować, to przynajmniej ograbić. Wówczas podział, który dziś nazwalibyśmy narodowościowym, niewielkie miał znaczenie wobec podziału na chrześcijan i pogan. Z poganami chrześcijanin rozmawiał wtedy tylko, gdy się nie dało inaczej (jak Niesiołowski z Oleksym). Natomiast chrześcijanie między sobą wadzili się jak w rodzinie (jak UW z AWS). W zasadzie przyjmowano (w teorii), że najlepiej byłoby, gdyby chrześcijanie mieli jedno państwo (na wzór cesarstwa rzymskiego). Problem tylko był w tym, kto ma być cesarzem. Tytuł ten uzurpował sobie ten, kto aktualnie był najsilniejszy. Najpierw był to władca Franków, potem dopadł go król Niemiec. A cała reszta panujących mamrotała pod nosem, że przecież oni w tej roli byłiby lepsi i owszem nie protestowała, ale też nie miała zamiaru podporządkować się dobrowolnie.

Nikom z Niemców nie przeszkadzało wtedy, że władca Czech dołączył do grona książąt, którzy mieli prawo wybierać króla Niemiec, a więc w praktyce cesarza. Nikt nie warczał na Słowian, gdy po ten tytuł sięgnęli królowie Czech. Polacy sami ściągali na swe ziemie osadników z Niemiec, by zaludnić ziemie dotąd nie użytkowane, Krzyżacy strasznie się cieszyli, gdy napływali do nich osiedleńcy z Mazowsza (stąd byłe ziemie zakonne zwą się Mazurami).

I tu doszliśmy do nieszczęsnych Krzyżaków. Jak ci biedacy mogli zagrozić królowi Polski? Wyobraźmy sobie sytuację z czasów Władysława Jagiełły. Krzyżacy to obecny rosyjski obwód kaliningradzki plus Mazury i Pomorze Gdańskie (pomińmy Inflanty, bo te nie brały udziału w wielkiej wojnie). Naprzeciw siebie mieli Wielkopolskę, Małopolskę, Mazowsze, Ukrainę, Białoruś, Litwę i skrawki Rosji. Dość, by ich zarzucić czapkami. Jak to było możliwe, że w ogóle się utrzymywali?

Bo mieli dobry system podatkowy! Potrafili wycisnąć z obywateli tyle, by wystawić wielką armię. A tymczasem w wielkiej Polsce nikt nie mógł zmusić mieszkańców do większych świadczeń. Nim się ruszyli, nim się zebraли, to im Krzyżacy Pomorze zabrali. Inna rzecz, że Krzyżacy też mieli siano we łbie, nie czytali roczników statystycznych i wydawało im się, że mogą podskakiwać. Toteż banderia polsko-litewsko-rusko-tatarska dała im łupnia pod Grunwaldem. Ale potem, zadowolona, roz-

jechała się do domów. Kilkadziesiąt lat minęło na wzajemnym przekomarzaniu się. Sfrustrowani Krzyżacy próbowali raz czy dwa kasać wielkiego sąsiada, co kończyło się tym, że koronne wojsko plądrowało Mazury, a Krzyżacy chowali się po zamkach. Z kolei zamków nie chciało się Polakom zdobywać. I jak skończyła się ta historia? Okazało się, że jest biznes na handlu zbożem, ale trzeba było je dostarczyć do Gdańska. A bezczelni Krzyżacy ustawili się z wyciągniętą łapą w poprzek Wisły i bełkotali coś o cła i podatku granicznym. Tego już rodacy ścierpieć nie mogli, więc rzucili po groszu (bo samym już im się nie chciało siadać na koń) i wystawili armię, ale że Krzyżacy rzucili więcej, więc sprawa się przeciągała. Jak łatwo się domyśleć, handel stanął. Wtedy wkurzyli się kupcy gdańscy - głównie zresztą Niemcy - i sfinansowali króla polskiego, wiedząc, że co prawda, trzepnie ich to po portfelach jednorazowo, ale za to handel rozkwitnie, a znalazłszy się w obrębie państwa polskiego, podatki płacić będą tylko wtedy, gdy będą chcieli. Finał był taki, że najemni żołnierze czescy oddali Polakom Malbork, bo Krzyżacy zalegali im z pensją. I tak narodziło się przysłowie: kto podatkami wojuje, ten od podatków ginie.

(zaleca się pracownikom urzędów skarbowych jako lekturę nadobowiązkową)

DZIEŃ ŻYCZLIWOŚCI

Podobno mieliśmy niedawno dzień życzliwości. Z tej okazji wygłoszono w telewizji komentarz, z którego wynikało, iż u nas, w Polsce, tego rodzaju święto nie ma racji bytu, bowiem Polak współczesny z natury jest nieżyczliwy. A gdy się próbuje Polakowi współczesnemu narzucać za pomocą kartek w kalendarzu uprawianie nieznośnej dlań postawy, to Polak się denerwuje, staje się podejrzliwy i gotów jest do przekroczeń prawa i dobrych obyczajów. Wychodzi na ulicę, popatruje wilkiem i widząc osobę demonstracyjnie życzliwą, zgaduje natychmiast, iż jest to kreatura wynarodowiona, zasługująca na naganę ustną, a nawet karę cielesną. W ten sposób - paradoksalnie - importowany z zagranicy dzień życzliwości przyczynia się do potęgowania niepokojów społecznych i narastania wskaźnika wykroczeń na jedną osobogodzinę.

Tymczasem to wcale nie jest prawda i na dowód tego przytoczymy zaraz kilka przykładów. Każdy policjant czy urzędnik, proboszcz czy inna osoba publicznego zaufania jest w stanie pokazać nam cały plik korespondencji, której autorami są ludzie przepełnieni troską o bliźnich, a przy tym bezinteresowni i skromni do tego stopnia, że nie narzucają się ze swoimi danymi personalnymi czy adresem, przedstawiając się po prostu z głębi serca jako „życzliwi”.

Weźmy na przykład pana Zdzicha. Przepojony humanizmem zwrócił kiedyś uwagę na podobieństwo pana Antoniego z przeciwka do szympansa (bardzo sympatyczne i bliskie nam stworzenie), z czego wysnuł wniosek, że dla dobra pana Antoniego najlepiej byłoby wyekspediować go do ciepłych krajów, gdzie z pewnością czułby się zdrowiej i bardziej u siebie. W efekcie fatalnego nieporozumienia pan Antoni źle odebrał czyste intencje pana Zdzicha i jął go włóczyć po sądach. Posuwał się przy tym do nieżyczliwej interpretacji faktów twierdząc, że pan Zdzychu bynajmniej nie humanizmem był przepojony i nie zionęło odeń czystymi intencjami jeno z lekka oczyszczonym denaturatem. Oskarżony przyznał przed składem orzekającym, iż wniosek może nawet wyprowadził pochopny, ale ogólnie chodziło mu dobro powoda. Gotów był nawet odwołać „szympansa” i zaproponował w to miejsce „neandertalczyka” zaznaczając, że dzięki temu ustępstwu da się wycofać zalecenie emigracji do Afryki (pan Antoni, nie wiedzieć czemu, strasznie się owym zaleceniem zbulwersował), jako że neandertalczyki doskonale sobie radzili również w surowszym od naszego klimacie. Niestety, pan Antoni znów pochopnie zinterpretował życzliwość pana Zdzicha jako chęć

zesłania go na Szpicbergen, choć adwersarz wcale nie użył słowa „Szpicbergen” a tylko terminu „Szpicbródka”, bo z sympatii dla prawdy obiektywnej zapragnął powiadomić sąd o nocnym hobby pana Antoniego.

Jak widać, nie mamy w ojczyźnie problemu braku życzliwości, a tylko problem zrozumienia intencji. Rodacy odruchowo obruszają się na przyjazne gesty, bo w propozycjach naprawy dostrzegają namolne wskazywanie niedoskonałości, choć tak naprawdę chodzi o to, by im było lepiej. Jeśli na przykład zaproponujemy publicznie, aby z Kowalskiego wypędzić diabła, to nie po to, by uświadamiać wszystkim, iż Kowalski jest opętany, tylko po to, by Kowalskiego uratować ze szponów złego. I co myśleć o Kowalskim, jeżeli pieni się i nas atakuje? Czyżby mu lepiej było z diabłem za skórą? Czy nie powinien raczej z nami współpracować, miast pędzić na komisariat?

Nie z brakiem życzliwości musimy walczyć, lecz z wszechobecną obłudą. Mówiąc komuś przykrą prawdę, nie poprawiamy mu może humoru, ale za to stwarzamy mu szansę poprawienia kondycji. Pisze do mnie pani Wicia, dusza poczciwa, iż kiedy zwróciła uwagę sąsiadce, pani Zosi, na jej ubiór niedbały, zaniedbania w zakresie higieny i oryginalną urodę, ta w odpowiedzi nie dość, że poddała w wątpliwość jej prawe pochodzenie oraz tak zwane prowadzenie się, to na domiar wszystkiego połamiała jej na głowie parasolkę. A tymczasem pani Wici chodziło o zdrowie psychiczne niewinnych pacholąt, które wychodziły z przedszkola akurat w momencie, gdy pani Zosia łaskawa była udawać się na spacer (jak gdyby nie mogła dokonywać tego rodzaju czynów pod osłoną litościwej ciemności). „A co z dziećmi, które mogą mieć koszmary do końca życia?” zapytuje z troską rozżalona pani Wicia. W pierwszej chwili pomyślałem ze smutkiem, że oto znowu mamy do czynienia z przypadkiem niezrozumienia intencji. Jednakowoż po bliższym zbadaniu sprawy okazało się, iż reakcja pani Zosi również wynikała z przyrodzonej życzliwości. Pani Zosia mianowicie zatroszczyła się o zdrowie miejscowej populacji (męskiej zwłaszcza) narażonej na dziedziczne choroby, których nośnikiem ma nieszczęście być pani Wicia; jeśli zaś chodzi o parasolkę, to posłużyła ona do zdziesiątkowania pasożytów, które z uwagi na roztargnienie pani Wici zadomowiły się licznie w jej fryzurze. A więc wszystko się wyjaśniło. A można było uniknąć niesnasek zakładając po prostu, że zachowanie naszych bliźnich wynika z ich ciepłego do nas stosunku.

Na tym zakończę, nawołując do powszechnego kultywowania postawy wzajemnie okazywanej spolegliwości, której Wam i sobie życzę. Jak zwykle życzliwy

DO NAS, ŚWIĘTY MIKOŁAJU!

Chyba idą święta, bo dzieci piszą pocztówki do świętego Mikołaja. W swej dziecięcej naiwności nie zdają sobie sprawy, że de facto produkują weksle, za które potem przyjdzie płacić rodzicielom. Na szczęście, niektóre dopraszają się dóbr, które zdają się mieć charakter pozarynkowy, nie podlegający wymianie na środki płatnicze. I tak dwunastoletni Henio domaga się, co prawda, wyścigowego bolidu spełniającego standardy formuły I, ale gotów jest zeń wspaniałomyślnie zrezygnować na rzecz śmiertelnej choroby nauczycielki biologii lub nauczyciela od fizyki. Trzynastoletnia Joasia nie jest tak krwiożercza i poprzestaje na pragnieniu, by nauczyciela historii dotknęła trwała niezdolność do pracy po bolesnym, choć krótkotrwałym wypadku. Nad wiek rozwinięty Krzysio życzy sobie, by pani od wu-efu wprowadziła się na jakiś czas do jego dziecięcego pokoiku. Podobne pragnienia żywi Monika, ale ich adresatem jest tym razem dziarski kierowca szkolnego autobusu. Jola, co chodzi do przedszkola, chciałaby, by święty Mikołaj urwał rączkę niegrzecznemu Jasiowi, który ową rączką odciąga ją notorycznie za włoski od ulubionych zabawek. Za to Jasio wolałby dostać prawdziwy rewolwer, bo wtedy wyrośnięty Przemio albo przyjąłby go do swej bandy, albo nawet ustąpiłby mu pośmiertnie stanowiska szefa gangu.

Niektóre pociechy myślą nie tylko o sobie. Mała Basia ślicznie prosi kochanego Mikołaja, by jej płaczliwy braciszek-niemowlak stał się od zaraz aniołkiem. Zdzisio postuluje, by tatusiowi udało się wreszcie sprzeniewierzyć jeden albo dwa miliony, co by umożliwiło całej rodzinie podróż dookoła świata. Karolinka życzy tatusiowi, by mu się wreszcie udało przejąć kontrolę nad miejscowymi nielegalnymi rozlewiami spirytusu. Henio ofiarowuje cioci Krysi, która ciągle go dokarmia, sto kilogramów landrynek i ładnie prosi, by Mikołaj pomógł cioci zjeść je w ciągu pół godziny.

Jak powszechnie wiadomo, święty Mikołaj podróżuje saniami zaprzężonymi w renifery. Pawełek wie dlaczego. „Bo renifer to taki jeleń. Tylko jeleń może rozdawać obcym ludziom prezenty”. Małoletni Zyzio i Wacek planują przystawić reniferowi do łba tatusiową dwururkę i zarekwirować sanie z podarkami. Potem opylą towar w szkole na dużej przerwie. Zatrzymają sobie tylko gumę do żucia i kowbojskie kapelusze. Renifera oddadzą do masarni pana Kowalskiego, a sanie ustawią w parku przy huśtawce i wynajmą panu Malinowskiemu, fotografowi; pan Malinowski będzie mógł zwolnić niedźwiedzia, który już się wszystkim znudził, a zresztą za dużo pije i depcze

klientom po odciskach podczas pozowania. Bartuś z Jasiem mają inny pomysł: przebrani za policjantów obłożą świętego Mikołaja mandatami. Bartuś ma tatę policjanta, więc stąd ta idea. Grześ ma mamę w Urzędzie Zatrudnienia i też wie, co zrobić: słyszał, że Mikołaj pochodzi z Finlandii, więc dopadnie go z żądaniem okazania pozwolenia na pracę w naszym kraju. „Oj, będzie się musiał Mikołaj okupić!” - cieszy się zaradne dziecko.

Inne marzenia snują dorośli. „Ach, gdybyż to istniał święty Mikołaj!” дума pan Zdzicho. Niechby sprawił, że choć z jednego kranu w kuchni popłynęłoby piwko; niechby choć kilka godzin dziennie. Pani Zofia napisała nawet do świętego Mikołaja list (choć go nie wysłała): „Święty Mikołaju, daj mi dużo pieniędzy i zdrowia, a daj mi też swojego imiennika spod numeru dwadzieścia i jeden”. Ot, proste życiowe pragnienia. Właściwie można byłoby je sprowadzić wszystkie do jednego: „Dajcie mi świętego Mikołaja albo złotą rybkę”. Jeszcze krócej i nowocześniej: „Dajcie mi sponsora!”.

Mało kto jednak życzy sobie być świętym Mikołajem czy innym Owsiakiem. Co innego, sponsorem. Rzecz w tym, że Mikołaj nie może sobie odpisać od podatku. Sponsor może, a jeśli nawet nie może, to w zamian ma coś innego, choćby reklamę. Do sponsora nie przychodzi się z życzeniami, lecz z uprzejmą prośbą. Nie tłucze się sponsor starożytnym zaprzęgiem, lecz „Mercedesem” albo i prywatnym samolotem. Nie otaczają go bezpłatne aniołki, lecz fikuśne hostessy. Renifery trzyma w prywatnym ZOO, a złote rybki pływają u niego w sadzawce. Jak to śpiewał Chyła? „Dobrze, dobrze być sponsorem, choć to świnia i krwiopijca”. I do łóżka mu przynoszą sponsorową, a on bierze z szafki litra i odbija szyjkę komórkowcem.

O tak, każdy by chciał być sponsorem. Ale przedtem trzeba spotkać świętego Mikołaja lub złotą rybkę. Są tacy, którzy twierdzą, że wystarczy być fartownym biznesmenem i złota rybka nie jest potrzebna. Może na początku nie, lecz potem różnie bywa. Zamiast beztróska sponsorować, fartowni biznesmeni zmuszeni są niekiedy ubiegać się o posadę w parlamencie, gdzie nudzą się wśród nieopanowanego gadulstwa i duszą przyciski zniewoleni. Wszystko po to, by trzymać na dystans zajadłych prokuratorów, których sponsorują wrogowie postępu i prywatnej inicjatywy. Ale kadencja się kończy, a nie da się zasponsorować tysięcy wyborców. Trzeba udać się bądź to nad ciepłe morza, bądź to do Kanady. Szukać złotej rybki lub świętego Mikołaja, aby prosić o zniesienie obrzydłego obyczaju ekstradycji.

ZIMA TO DOBRA PORA DLA BAŁWANÓW

Idzie zima. Niektórzy się cieszą, niektórzy nie. Są turyści specjalizujący się w łażegostwie białym i ci zimę lubią. Mniej lubią zimę turyści praktykujący zamaczanie, bo zamaczanie zimą nie dla każdego jest przyjemne; dla marynarzy i innych topielców nawet zgubne. Ale i tu są wyjątki w postaci tak zwanych morsów udających dzielnie, że moczenie się zimowe sprawia im przyjemność. Dodajmy na marginesie, że to, co morsom sprawia (rzekomo) przyjemność, nie nazywa się „moczeniem białym”. „Moczenie białe” to miano zarezerwowane raczej dla zmaczania pościeli, czemu oddają się z lubością niemowlęta, a nie morsy. Morsy zresztą też się temu oddają, ale nie z lubością, lecz chcąc nie chcąc ze względu na chroniczne zapalenie pęcherzy. Zimy nie lubią też naturyści i plażofile z powodów dość podobnych do powodów, na które powołują się zamaczacze nie będący morsami. Nie szaleją też za białym szaleństwem grzybiarze i inni zbieracze leśni.

Wbrew rozpowszechnionym opiniom górale nie lubią zimy, lecz gotowiznę. Ponieważ lubią gotowiznę, nie piorą ciupagami narciarzy i saneczkarzy, czy łażegów białych, a wręcz przeciwnie namawiają ich do sportów zimowych w warunkach górskich; a że ich namawiają, to muszą głośnić, iż zima to najpiękniejsza pora roku. Wtórują im chirurdzy i wytwórcy gipsu, bo też żyją z turystyki białej. Tymczasem niedźwiedzie lubią zimę naprawdę, bo się mogą wyspać. Tak samo nauczyciele, młodzież szkolna i studenci - przynajmniej w okresie ferii.

Urlopujący właściciele samochodów mają odmienne zdanie niż urlopujący narciarze i saneczkarze, bo samochody mają akumulatory i rozruszniki w odróżnieniu od nart i saneczek. Za komuny pracujący samochodziarze mieli podobne zdanie, co urlopujący narciarze i saneczkarze, gdyż nagminnie zaskakiwane zimą służby drogowe umożliwiały im urlopowanie w godzinach pracy. Dziś, w dobie kapitalizmu, urlopujący samochodziarze zgadzają się z pracującymi narciarzami i saneczkarzami co do tego, że zimą tylko bałwanom jest dobrze.

W porze ciepłej wśród drzew, krzewów, traw i ziół wszelakich młodzież koedukacyjnie staczała się do poziomu, rodząc trudności wychowawcze. Zimą toczy jeno kule śniegowe, z czego poczynają się wspomniane już przed chwilą bałwany. I tu plus dla zimy. Z drugiej strony jednak, po co nam tyle bałwanów? Czy mamy ich za mało? I czy młodzież letnią porą nie mogłaby lepić babek z piasku, strugać lipowe figurki, albo uprawiać korzenioplastykę?

Jak widać, zimą wszystko jest względne. Jedni się nią cieszą, inni - nie. Turyści uprawiający łażęgostwo białe nie cieszą się, gdy sobie odmrożą uszy. Nie sprawia im radości ani spadająca na łeb lawina, ani obudzenie śpiącego niedźwiedzia. Są tacy entuzjaści turystyki białej, którzy lubią łażęgostwo optyczne; ci się cieszą zarówno spoglądając na zamieć za oknem, jak i kontemplując lśniące w słońcu szczyty, gdy tymczasem sączą sobie rum ze znajomym bernardynem w bliskości schroniskowego kominka. Co do morsów, to ich szczęście też jest względne. Istnieje taki podgatunek morsów, który osiąga rozkosz w momencie, kiedy wylezie wreszcie z przerębla, opatuli się w kożuszysko i łyknie herbaty ze spirytusem. Naturyści i plażofile nie lubią zimy, ale lubią niektóre jej skutki, jak na przykład konieczność spotykania się w pomieszczeniach zamkniętych czy solariach, co niewątpliwie sprzyja zacieśnianiu kontaktów. Zwłaszcza, jeśli szwankuje ogrzewanie i nie da się zacieśniać inaczej, jak pod pierzyną. A grzybiarze i inni zbieracze leśni rozpierają się białą porą w fotelach i konsumując owoce letniego trudu, zacinają sobie w brydzyka albo w bańkę - zależnie od upodobań. Głośno sarkają na brak kontaktu z gęstwą, ale z drugiej strony nie zacieka im za kołnierz, nie przemakają odnoża i nie kąsają ich komary ni kleszcze. Nie muszą się opędać od wściekłych lisów, choć z drugiej strony brak nadziei na spotkanie z zieloną gąską. Cechuje ich w tej kwestii zmienność nastrojów, co może mieć coś wspólnego z wynikami, jakie osiągają w zmaganiach karcianych.

Podjeżdżamy, że również premier Balcerowicz podchodzi do zimy z tak zwaną ambiwalencją. Pora ta wydaje się, co prawda, całkiem odpowiednia do schładzania gospodarki, ale nieprzyjemna z powodu powarkiwanie związków zawodowych na podwyżki w zakresie elektryki (zimną ciemno) i ciepłej wody (mało kto poza niektórymi Sybirakami i Skandynawami myje się śniegiem).

Górale lubią raczej gotowiznę niż zimę, ale z drugiej strony, kiedy zawieje, nie muszą uprawiać ani kamienistych poletek, ani też owiec nad ruską granicą. Mogą za to uprawiać karczemne spotkania trzeciego stopnia i góralską muzykę. Mogą się też przewietrzyć podczas licznych wydłubywań zwolenników turystyki białej spod lawin i z oblodzonych stoków. Chirurdzy górscy uzyskują zimą, prócz dóbr materialnych, poczucie zawodowej wartości, jednakowoż zmuszeni są przed gipsowaniem wchodzić w kontakt z niezliczoną ilością śmierdzących skarpetek swoich pacjentów.

Tym niemniej niedźwiedzie, studenci, nauczyciele i diatwa chwalać sobie.

OPOWIEŚCI WIGILIJNE

U pana Zdzicha wigilię świąt Bożego Narodzenia obchodzi się uroczyście i w duchu pojednania. Wszyscy obecni przełamują się opłatkiem i życzą innym tego, czego by sami sobie życzyli. Atmosfera staje się od tego podniosła i bardzo ciepła. Pan Zdzicho przeważnie poci się ze wzruszenia i woła o zimne napoje z lodówki.

W tym roku też zanosi się na miły, rodzinny wieczór. Pan Zdzicho spodziewa się na kolacji krewnych osobistych tudzież krewnych osobistej małżonki. Będzie brat Michał, proboszcz, kuzyn Jerzy, rzemieślnik i szwagier Zenon, o mało co poseł do parlamentu (nie zmieścił się na listę krajową). Razem utworzą ciało reprezentatywne dla naszego narodu, jako że brat Michał spodziewa się świętego Mikołaja, kuzyn Jerzy oczekuje na gwiazdora, a szwagier Zenon liczy na dziadka Mroza. Na początek staropolskiego uczynią niedźwiedzia i po opłatku krzepko dzierżąc w dłoni, do wigilijnych przystąpią życzeń. Pan Zdzicho szepnie połowicy: „niech ci święci anieli przy garnkach pomogą”, na co usłyszy: „żeby cię stróż anioł prosto do domu z gospody prowadził”. I powie brat Michał do szwagra Zenona figlarnie: „oby cię, mój drogi, puścił diabeł srogi”, za czym szwagier Zenon odrzecz: „nie wpadaj we wnyki wstrętnej polityki”. Obaj kuzynowi Jerzemu objawią swe nadzieje co do jego różowości, przy czym brat Michał będzie chciał, iż by mu ona zbieła jako ta lelija, zaś szwagier Zenon przeciwnie - aby rozgorzała wesołą czerwienią na podobieństwo maków polnych albo i miłego gospodarza Zdzicha na koniec drugiego święta. Potem zasiądą solidarnie do kolacji. Zgodnie pochwalą zupę grzybową, którą pani domu jak zawsze przesoli, zachwycą się ziemniakami, które na pewno nie będą przypalone bardziej niż łońskiego roku, zadławią się pospołu ościstym karpem, na co pan Zdzicho tradycyjnie zaradzi pieprzóweczką. I brat Michał wręczy szwagrowi Zenkowi katechizm dla początkujących podpisany przez prymasa Glempa, a w zamian otrzyma pięknie oprawiony egzemplarz konstytucji z autografem Kwaśniewskiego. Od gospodarzy dostaną po skarpetkach i chusteczce do nosa. Pan Zdziś ofiaruje żonie książkę kucharską, a ona mu biografię Halszki Wasilewskiej. Kuzyn Juruś rozda kilka egzemplarzy „Poradnika podatnika”. Ostatnim punktem programu będą wspominki rodzinne, interpretacje dziejów najnowszych i recepty na zbawienie miłej ojczyzny.

*

Powszechnie wiadomo, że w noc wigilijną zwierz rozpusza jęzory i ludzkim głosem deliberuje nad kondycją stosunków z człowiekiem; ostatnimi czasy

czepia się też ponoć ochrony środowiska. Pan Antoni, znany badacz organizmów żywych, zawsze po świętach skarży się małżonce, iż po raz kolejny nie zarejestrował owego fenomenu. Ta odpowiada niezmiennie: „ależ gadałeś bez ustanku, mój prosiaczku, ale rzecz jasna, nic nie pamiętasz!”. Pan Florian W. natomiast programowo nie zbliża się w gwiazdkę do budy, bo tkwi w nim przeczucie, że Azor strasznie by go obso-baczył. I ma rację, zważywszy na krótkość łańcucha.

Ale tylko Wieńczysław J. ma dowód w rękę. Swego czasu Mieczysław K. w połowie grudnia zwierzył mu się z zamiaru popełnienia przestępstwa przeciw władzy ludowej. Zaraz po świętach Mieczysław K. został aresztowany i od tego czasu szarga nieustannie dobre imię Wieńczysława J., zarzucając mu wiadomą współpracę. Zapomina jednak, że przy zwierzeniach obecny był kot Puszek, który najwidoczniej w noc wigilijną udał się na komendę. Nie mógł to być Wieńczysław J., gdyż nie pozwoliłyby mu na to zasady. Mógł to być natomiast kot Puszek, bo to jest bestia bez żadnych zasad, a ponadto niechętna Mieczysławowi K. z powodu zatargu z jego psem Filutem. Jest nadzieja, że wszystko wyjdzie na jaw po odtajnieniu teczek. Jednakowoż - pyta pan Wieńczysław K. - czy godzi się oprymować nierozumne zwierzę, które nie mogło sobie zdawać sprawy ze społecznej szkodliwości swego czynu, a ponadto mamione było komunistyczną propagandą? Dlatego też zaalarmował Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami sugerując oprotestowanie ustawy lustracyjnej. Z reporterskiego obowiązku, dowiedziawszy się o wyżej wyłuszczonych okolicznościach, jęliśmy drażyć sprawę, by pomóc ewentualnie panu Wieńczysławowi, który okazał się człowiekiem wielkiej poczciwości, autentycznie przejętym ową przykrą sytuacją i pełnym obaw, czy cała ta afera nie zaszkodzi społeczności zwierząt domowych. W tym celu udaliśmy się po ekspertyzę do znajomego, byłego pracownika Służby Bezpieczeństwa, obecnie nawróconego i życzliwego wolnej prasie. Ekspert widzi, niestety, czarno. Podziela naszą dobrą opinię o panu Wieńczysławie J., którego zna i o którym wie, że najdalszy jest od myśli o donosicielstwie. Wątpi wszakże w to, by w aktach bezpieki znalazła się prawda. „Musicie wziąć pod uwagę - rzekł w pewnym momencie - że dyżurny oficer nie mógł wciągnąć kota Puszka na listę współpracowników z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względów doktrynalnych nie wolno mu było sporządzić pisemnego świadectwa cudowności nocy wigilijnej, a po drugie, kot Puszek nie był w stanie podpisać ani zobowiązania do współpracy, ani listy płac. Jakie więc miał wyjście wspomniany oficer, który nota bene pałać musiał żądzą dopadnięcia Mieczysława K.? Oczywiście wpisał do raportu nazwisko właściciela kota, czyli Wieńczysława J. i w ten sposób zrujnował być może życie

niewinnemu człowiekowi”. Czy widzicie, drodzy Czytelnicy, humanitarny i polityczny aspekt tej sprawy?. Należy sobie pryncypialnie zadać pytanie: czy autorzy ustawy lustracyjnej przewidzieli taką możliwość? Jeśli nie, nie wolno dopuścić, by weszła ona w życie. To nasz obywatelski obowiązek.

No tak, jak zwykle okazało się, że nasza skrzecząca rzeczywistość polityczna wdarła się podstępnie w chwilę świątecznej zadumy. Tym bardziej proszę Was o to, byście zamknęli przed nią drzwi choć w ten jeden, wigilijny wieczór. Jeszcze raz Wszystkiego Dobrego i miłych wrażeń pod choinką.

Z NOWYM ROKIEM NOWYM KROKIEM

Wszystkiego upragnionego w Nowym Roku! Szczęścia, zdrowia i pieniędzy! Pewnym krokiem ku świetlanej przyszłości. Na początek zauważmy, że nadejście nowego roku nastraja optymistycznie. Skoro nowy rok, to można zacząć od nowa. W starym roku nam nie wyszło, teraz wyjdzie. W starym roku kopali pod nami dołki i ciosali kołki na naszej głowie, w roku nowym łopatę i siekierkę weźmiemy we własne ręce. Przed pierwszym stycznia Wiśniewski pożyczył od nas i nie oddał, po pierwszym stycznia my pożyczymy od Kowalskiego. A teraz krótka, mobilizująca wstawka przed rzeczami wagi najwyższej:

Jak wiadomo, są obywatele-optymiści i obywatele-pesymiści. Pan Zdzi-cho jest pesymistą. Zrędzi, że nowy rok rozpoczął od potwornego kaca. Jego kompan, pan Lesio, jest optymistą i mówi mu, że rozpoczął rok od tego, że trzeźwieje. Pan Zdzi-cho nie widzi nic dobrego w tym, że trzeźwieje, więc pan Lesio wyciąga pół litra i pesymizm pana Zdzi-cha maleje. Jak widać, umiejętnym postępowaniem nawet pesymistę wprowadzić można w optymistyczny nastrój. Z optymizmem zatem, porzuciwszy codzienny pesymizm, usłyszcie, co następuje.

Będzie dobrze, moi krajanie, będzie dobrze. Na ten przykład będziecie mieli nowy, lepszy podział administracyjny. Gniezno stanie się stolicą powiatu. Na początek. Potem będzie siedzibą województwa. To oczywiste, tu rezydowali nasi pierwsi, historyczni władcy (o ile nie pętali się po kraju), więc się Gnieznu należy. Poza tym na pewno ci z Konina, Piły, Kalisza, Poznania czy innej Zielonej Góry zgodzą się na zjednoczenie tylko pod warunkiem, że stolica ustanowiona będzie albo u nich, albo w żadnym z dotychczasowych miast wojewódzkich. Cóż więc im pozostanie? Gniezno pozostanie. Niedługo zresztą pozostanie w tym stanie, bo zaraz potem z podobnych powodów przeniesie się do Gniezna stolicę państwa. Trzeba tylko pohamować tych z Kruszwicy, którzy coś za dużo wycierają sobie ostatnio gęby Popielem. Że niby Popiel wcześniejszy od Mieszka. Dlatego w niedzielę zbieramy się na dworcu kolejowym. Młodzież pobierze kije baseballowe w holu. Aktywiści z terenu zorganizują sobie we własnym zakresie kłonicę i kosy na sztorc. Aktywiści miejscowi zakupią w bufecie poręczne butelki i sporządzą tulipany (uprzejmie prosimy o uprzednie wypicie zawartości, by nie zalewać dworca). Wolontariuszki mile widziane z szarpkami, alkaprimem i kwaśnym mlekiem. Poszukiwani dobosze z tarabanami i orkiestra strażacka. Pociąg do Kruszwicy

o godzinie 11.30. **Niech nam żyje Gniezno, Kruszwiczanie niechaj szczęzną!
Wszystkie stolice w Gniezna okolice!**

Powstaje, drodzy krajanie, Towarzystwo Promocji Gniezna „Stolica Nasza”; legitymacje członkowskie dostępne w waszej ulubionej Redakcji, tamże składać składki i datki. Wyrazy poparcia składać proszę zwięźle i bez użycia wyrazów. Kandydaci na członków proszeni są o dostarczenie zaświadczenia o wysokości dochodów. Kandydatki na członkinie (do lat 35) dodatkowo przedłożą zdjęcie w stroju kąpielowym lub bez w celu wyłonienia Miss Stolicy. Chętni do stanowisk rządowych okażą się własnoręcznie spreparowanym życiorysem. Chętni do Biura Ochrony Rządu przyniosą zaświadczenie lekarskie o tym, że są niewrażliwi na jaja (zwłaszcza nieswieże). Natomiast jaja (nieswieże zwłaszcza) przyniosą przyszli aktywiści Sekcji Protestu TPG „SN”. Aspirujący do pracy w Sekcji Negocjacji przysięgną, że nie brak im jaj. Chętnym do prezesury mówimy prosto z mostu: „bez jaj!”.

Ogłasza się przetarg na budowę biurowca-wieżowca z przeznaczeniem na siedzibę władz rezydujących w mieście stołecznym Gnieźnie. Do przetargu przystąpić mogą firmy z siedzibą w obrębie Ziemi Gnieźnieńskiej albo też krewni lub znajomi członków TPG „SN”. W podziemiach ulokuje się gabinet cieni, basen, kino i Polskie ZOO. Na parterze sklepy, knajpki, agencja towarzyska „Anastazja”, wesołe miasteczko oraz gabinet figur woskowych, w którym zasuszać się będzie zdymisjonowane gabinety. Pierwsze piętro zajmie Urząd Sołectwa Osady Kruszwica (żeby był pod bezpośrednią kontrolą) oraz służby sanitarne i porządkowe. Na drugim piętrze rozgoszczą się Gminne Władze Miasta Gniezna, na piętrze trzecim - Powiatowe Władze w/w miasta, jeszcze wyżej - Województwo Stołeczne. Cieszcie się, bracia, bo każdy z najlichszych nawet obywateli naszego grodu będzie miał swój stołek w owych licznych władzach. Piąte piętro będzie na parlament (izba wyższa na półpiętrze). Na szóstym Rząd, na siódmym Prezydent, wyżej sądy (Sąd Najwyższy na dzwonnicy obok dzwonu). Towarzystwo Promocji Gniezna „Stolica Nasza” zajmie klatki schodowe i windy, by kontrolować ruch kadrowy z dołu do góry i z góry do dołu.

Ciesz się, ludu szlachetny z Gnieźnieńskiej Ziemi, Nowy Rok to nasz rok, czego Ci i sobie życzę.

KALENDARZ POLSKI

Kalendarz polski różni się od kalendarza niemieckiego, a jeszcze bardziej - od rosyjskiego. Jak powszechnie wiadomo, Polak rozpoczyna tydzień od poniedziałku, zaś Niemiec - od Montag. Polak w listopadzie czci powstanie listopadowe, a Rosjanin - rewolucję październikową. Początek roku to dobra okazja, by zastanowić się nad obrotami ziemskimi wokół słoneczka naszego. Pana Zdzicha zastałem wczoraj obłożonego słownikami i encyklopediami, jak się zastanawiał nad zmianą kalendarza, jaka niewątpliwie się u nas dokona, gdy nas przyjmą do Europy. Będzie to zmiana na lepsze, twierdzi pan Zdzicho, bo wystarczy spojrzeć na optymistyczny kalendarz naszych sąsiadów zza Odry i porównać go z naszą beznadzieją.

Weźmy się chociażby za miesiące. Polak rok inauguruje styczniem, bo znowu przeżył dwanaście miesięcy na styk. Dostał trzynastkę, oddał te długi, których sobie nie umorzył i zaczyna się dorabiać od zaraz. Niemiec nie ma stycznia, bo lepiej zarabia. Ma za to Januar, który pochodzi od imienia takiego gościa z czasów rzymskich, co miał dwie twarze i którego wybijali na monecie zwanej as. Ten niemiecki Januar jedną głową patrzy do tyłu, czyli w stary rok, drugą - do przodu i tu, i tu widzi monetę, więc jest as.

Potem idzie luty. Ażeby przez ten przykry miesiąc przebrnąć, należy się być nalutowanym, jak twierdzą warszawiacy. Luty to po dawnemu „srogi”. Dobrze, że chociaż krótki. A taki Sas spod Drezna nie ma lutego, bo Europy luty się nie ima. Sas ma Februar. Pewnie od Febusa, czyli Apollina, który był w Grecji bogiem słońca i czas spędzał w otoczeniu czeredki Muz, które mu muzykowały, odstawiały teatr, pokazywały gwiazdy i opowiadały historie wierszem.

Polski marzec ma nazwę swą stąd, że się zaczyna w marcu marzyć o tym, że rok aktualny jest już na ukończeniu, a w nowym, rzecz jasna, będzie lepiej. Niemiecki marzec wymawia się „merc”. I już się kojarzy. W marcu jedzie sobie taki Klaus mercedesem, pożera marcepany, popija marcowym piwem i w ogóle się czuje jak jaki kot, co się marcuje.

W kwietniu staropolskim obyczajem przynosimy kwiaty na mogiły podatników, których sparaliżowały niepojęte sumy wynikające z rozliczeń rocznych, a dobił podatek drogowy w benzynie i akcyza w spirytualiach. Po niemiecku kwiecień to „April”, z czego musi wynikać, że rozliczenia roczne, akcyzy i podatki to dla obywatela Republiki Federalnej tylko żart i nic więcej.

Kiedy się kwiecień skończy, przychodzi do Polaka baba z opieki społecznej, wyciąga z worka stare portki z niemieckich darów i mówi mu ciepło „maj, kochanieńki, maj, co dobrzy ludzie mieli i tobie z serca dali”. I dodaje, że wybierała się już od stycznia, ale dopiero teraz odtajało na drogach. U Hansa i Grety maj wabi się „Mai”, co pochodzi w prostej linii od „maić”, czyli jakoś tam zdobić sobie egzystencję. W maju Hans i Greta lubią wpaść do Meksyku, aby podziwiać zabytki kultury Majów. Do Polaka wpadnie, co najwyżej, redaktor Maj z notesem, w którym ma zapisane, co Polak onegdaj zmalował i ile się należy za to, że redaktor Maj tego nie opublikuje.

Miano szóstego miesiąca wzięło się w Polsce od przasnego czerwca, czyli takiej pluskwy, którą nasi przodkowie wyduszali, aby wyciekł z niej barwnik i tym czymś barwili sobie gacie na czerwono. Ten proceder trwał dopóty, dopóki z Zachodu nie zaczęli importować zamorskiej pluskwy, która widać była lepsza, a poza tym wabiła się po przeróbce tak jakoś miło, a mianowicie „koszenila”, przez co nadawała się do farbowania koszuliny, czyli odzieży wierzchniej. W czerwcu Polaka mdli na wspomnienie realnego socjalizmu, przeto ogranicza wydajność i strajkuje, bo to taki lewicowy miesiąc. Po niemiecku czerwony to „rot”, a czerwiec to „Juni”. Juni nie kojarzy się więc z lewicą, lecz z Juno, rzymską boginią od seksu; nie z przebrzydłymi komunistami zatem, lecz z obleśną komuną, czyli obcą nam patologią obyczajową, której za grzechy nasze daj nam zakosztować, Panie. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Juno nosiła w Rzymie przydomek „Moneta”.

W lipcu wszyscy już rodacy zdają sobie sprawę, że ten tegoroczny, obiecany dobrobyt to lipa. A nasi zachodni sąsiedzi nie kojarzą lipca z lipą, bo ich siódmy miesiąc to „Juli”, co chłopom przywodzi na myśl Julię, a babom - Romea; wojskowi kojarzą sobie ową porę z wodzem Cezarem, a kochający inaczej - ze słodkim brutalem Brutusem.

Sierpień przypomina jednym sierp, a innym młot. Wszystkim - podróż po rżysku na bosaka. Ale taki August to po łacinie „boski”. Sami widzicie: nam „boso”, im „bosko”. Zdążajmyż czym prędzej do tej Europy.

Kupiwszy potomstwu wrześnie akcesoria szkolne, ruszamy na wrzosowiska, by podratować budżet grzybostanem. Byłoby inaczej, gdybyśmy miast wrześnie obchodzili September. Septem to po łacinie „siódmy”. W miesiącu September z pewnością czulibyśmy się jak w siódmym niebie.

W październiku coś z nas zdierają. Skórę zazwyczaj Od tego padamy cztery tygodnie później jakoby liść zeschnięty. Tymczasem na zachód od nas wesoło mijają

Oktober i November, które to pory roku kojarzą się panu Zdzichowi z przyswajaniem wciąż na nowo wysokooktanowego piweczka w zacisznej Bierstube, czyli ichniej pijalni. Nie warto już nawet przypominać, że w grudniu jak po grudzie, podczas gdy De- zember to w tłumaczeniu pana Zdzicha „dziesięć piw”, czyli marzenie zmęczonego rodaka.

WOLI PAN UDAR CIEPLNY CZY ODMROŻENIE?

Ciepły styczeń prowokuje do rozważań nad ekologią. Od dłuższego już czasu krążą w środkach masowego przekazu wieści o tzw. efekcie cieplarnianym. Na przemian zresztą z zapowiedziami następnej epoki lodowcowej. Tak czy owak wychodzi na jedno: klimat się ponoć zmienia. Czy to dobrze, czy źle? Dla jednych dobrze, dla drugich źle, odpowiadają ludzie roztropni.

Za efektem cieplarnianym przemawia wzrost ilości dwutlenku węgla w atmosferze. Skąd się bierze? Z naszych pieców i samochodów. Rośliny pochłaniają dwutlenek węgla i wydzielają tlen, ale kurczenie się lasów powoduje zmniejszenie się masy roślinnej, przez co mniej tego pochłaniania i wydzielania. Dwutlenek węgla działa jak szyba w szklarni: przepuszcza promienie słoneczne na Ziemię i zatrzymuje promieniowanie cieplne, które chciałoby odlecieć w kosmos.

Za zlodowaceniem przemawia historia. Milion i osiemset tysięcy lat temu rozpoczęła się epoka, w której długie okresy oziębienia przerywane są krótkimi okresami ocieplenia. Okresy ciepłe trwały od ośmiu do dwunastu tysięcy lat. Obecny trwa już dziesięć tysięcy lat. Jeśli więc nic szczególnie się nie zmieniło w klimatycznej kuchni, to w każdej chwili może rozpocząć wielkie ochładzanie. A z badań wynika, że okres przejściowy był zawsze bardzo krótki. W ciągu dwudziestu lat klimat Polski może zamienić się w klimat Grenlandii.

Ale co w końcu nastąpi? Ocieplenie czy ochłodzenie? Gdyby była pewność co do tego, można byłoby ewentualnie podjąć jakieś środki zaradcze. Zlodowaceniu przeciwdziałać należałoby wypuszczając więcej dwutlenku węgla do atmosfery. Ocieplaniu zapobiegać trzeba ograniczając owo wypuszczanie.

A co byłoby dla nas lepsze? Ocieplenie czy zlodowacenie? Ocieplenie spowoduje ogrzanie lodów i wzrost poziomu mórz. Dzisiejsze porty i miasta nadmorskie znajdą się pod wodą. W atmosferze zgromadzi się więcej energii niż dotąd, co oznacza więcej huraganów. Powietrze pomieści w wyższej temperaturze więcej pary wodnej niż dotąd, co oznacza obfitsze deszcze, czyli więcej powodzi. Zlodowacenie z kolei zlikwiduje europejskie rolnictwo, nasze miasta nie będą się nadawały do zamieszkania, bo nie da się odpowiednio ogrzać takich budynków, jakie mamy. Jeśli by to nastąpiło od następnego roku, to nic się nie da zrobić; rodacy albo wymrą, albo przeniosą się w okolice równika, gdzie napotkają na Niemców, Amerykanów i Szwedów, nie

mówiąc o Japończykach i innych nacjach. I oczywiście dotychczasowych mieszkańców. Dla wszystkich nie wystarczy ani miejsca, ani pożywienia. Murzyni czy Brazylijczycy na pewno nie będą chcieli wychodźców wpuścić, więc wszyscy zaczną do wszystkich strzelać.

Ocieplenie mimo wszystko wydaje się mniej tragiczne, ale jeśli nastąpi, to nastąpi bardzo szybko, pewnie jeszcze za naszego życia. Zlodowacenie wygląda mniej zachęcająco, lecz nie musi nastąpić od razu, równie dobrze może nas dotknąć w następnym roku jak i za pięćset lat.

Na co się więc nastawimy? I co trzeba zrobić?

Wariant A: ocieplenie. Nie warto inwestować w Szczecin, Gdańsk czy Kołobrzeg - i tak się znajdują pod wodą. Trzeba zawczasu budować nowe miasta dla tych topielców, wytyczać przypuszczalną linię brzegową i planować nowe porty. Takie nizinne kraje jak Dania i Holandia znikną, trzeba więc liczyć się z tym, że i do nas trafią jacyś uchodźcy. Budować wały przeciwpowodziowe i zbiorniki.

Wariant B: zlodowacenie w ciągu kilkudziesięciu lat. Ani grosza na rolnictwo: to zmarnowane pieniądze. Podwyższyć cenę ciepła i energii kilkudziesięciokrotnie, by zmusić obywateli do inwestowania w ocieplanie siedzib. Zastopować wzrost płac, ba, obniżyć je, by wszystkie środki skierować na badania nad nowymi źródłami energii, nowymi technologiami w budownictwie i syntetyzowaniu żywności z surowców nieorganicznych. Ograniczyć przyrost naturalny przez zakaz posiadania więcej niż jednego dziecka i dodatki płacowe dla bezdzietnych.

Wariant C: zlodowacenie w dalszej perspektywie. To samo co w wariacie B, tylko mniej gwałtownie.

Na co się więc nastawimy w końcu? Odpowiedź brzmi: na nic. Wszystkie warianty wymagają wyrzeczeń, a do tego nie jesteśmy zdolni. Gdyby nawet jacyś naukowcy ponad wszelką wątpliwość udowodnili, że nadchodzi bądź to zlodowacenie, bądź efekt cieplarniany i gdyby nawet ministrem finansów został jakiś Ekologowicz i zaproponował plan **obniżenia stopy życiowej** w celu uratowania przyszłości - nic by nie pomogło. Okazałoby się, że naukowcy udowodnili ponad wszelką wątpliwość niektórym innym naukowcom, ale nie ludowi pracującemu miast i wsi. Pojawiliby się absolwenci znanych uczelni, którzy by podważyli owe prognozy. Wyrosłoby politycy, którzy wygraliby wybory pod hasłem przeciwdziałania spiskowi jajogłowych. Zaczęto by szukać sił, które za tym stoją.

Skąd to wiem? Z życia. Balcerowicz zaproponował, by trochę zmniejszyć **wzrost stopy życiowej** po to, by w niedalekiej przyszłości uniknąć ewentualnego kryzysu gospodarczego. Połowa i więcej rodaków woła, że żądni bratniej krwi liberałowie robią im na złość. Argumenty rządu uważają za propagandę. Ale który polityk trzepie obywateli po kieszeni bez potrzeby? Przecież polityk to taki, co dąży do władzy i kurczowo trzyma się stołka. Każda niepopularna decyzja to ryzyko, że następnym razem go nie wybiorą i trzeba będzie gnić w opozycji. Jeśli jest taka sytuacja, że niemiłe decyzje są koniecznością, politycy dzielą się na dwie kategorie. Jedni boją się tych decyzji i albo je zwalają na innych, albo przeczekują w nadziei, że katastrofa dotknie ich następców. Inni biorą byka za rogi i działają szybko w nadziei, że zaboli, ale potem się poprawi, ludzie zapomną o nieprzyjemnościach i mając poprawę przed oczyma, jednak się nad ryzykaniem ulitują. Tylko zwariowany polityk dobiera się obywatelom do skóry bez potrzeby.

Skoro ludzie krzywią się na ograniczenie wzrostu, nigdy nie zgodzą się na kurczenie dochodów. Choćby za sto lat ludzkość miała przez to zginąć. Dlatego tacy futurologowie jak Lem są pesymistami i wątpią, by gatunek Homo sapiens potrwał zbyt długo na Ziemi. Ale podobno szczury i karaluchy są odporne na zanieczyszczenie środowiska. Życie więc będzie się pewnie toczyć dalej - już bez ludzi.

TYDZIEŃ EUROPEJSKI NA KRAJOWYM TLE (Studium historyczno-językoznawcze)

Przedostatnim razem prezentowaliśmy Wam przemyślenia pana Zdzicha dotyczące nazw miesięcy. Okazało się - jak sobie przypominacie - że polskie nazewnictwo w tym zakresie zionie pesymizmem, a nawet beznadzieją w porównaniu z radosną nomenklaturą stosowaną przez naszych sąsiadów z Niemiec. A jak jest z ksywkami dni tygodnia? O, tutaj sytuacja jest zgoła zdumiewająca. Okazuje się, że przedziwnym zrzędzeniem losów niemiecka nomenklatura tygodniowa odpowiada raczej polskiej rzeczywistości, zaś analogiczne polskie nazewnictwo - rzeczywistości niemieckiej. A to stąd, że słownictwo obu narodów ukształtowało się w zamierzchłych czasach na skutek wzajemnego podglądactwa.

Zacznijmy od nazwy zbiorowej siedmiu dni. Zawistni Słowianie starożytni obserwując przez kilka dób zadowolonego z siebie Germańca mawiali między jednym splunięciem a drugim „patrzejta, moiściewy, znowuż tygo dni”, co w tłumaczeniu na współczesny język znaczy „no i co pan powiesz? kolejny raz przez dni kilka nie ponieśli bynajmniej wilka”. Ku zgryzocie praojców sytuacja się ciągle powtarzała: przez sześć dni Germańcowi się darzyło, zaś w dzień siódmy znużony powodzeniem odpoczywał. Naturalną kolejną rzeczą pradziadowie sześć dni cierpieli z zazdrości i dopiero dzień siódmy dawał im jakie takie ukojenie (od tego czasu niedziela należała do nich, zaś najbardziej nie lubili poniedziałku). Z czasem wyrażenie „tygo dni” przybrało formę rzeczownika w liczbie pojedynczej. Jeśli zaś chodzi o niemieckie określenie tygodnia, a mianowicie „Woche”, to było z tym następująco. Na nagabywania germańskie, czy to prawda, że siedem dni po słowiańsku nazywa się „tygo dni”, sfrustrowani Słowianie odpowiadali: „skądże!”. Potem dla pewności sami zapytywali „a rozumiesz słowo „skądże”?” i słyszeli „nicht kaput”. Z konieczności nauczyli się, jak jest po wrażemu „skądże” i teraz na pytanie „was ist „tygo dni”?” odpowiadali po germańsku „woher!”. Nie ich to wina, że jakiś Hans zaczął pisać usłyszane od Słowian „woher” przez „ch”.

Pierwszego dnia po święcie Słowianie, widząc przystępującego do roboty innostrańca, zdawali sobie sprawę z tego przykrego faktu, że już po niedzieli; stąd też nazwali ów smutny dzień „poniedziałkiem”. Z kolei Germanie, widząc rozkojarzenie poniedziałne sąsiadów, zadawali sobie pytanie, czy sąsiedzi nie spadli przypadkiem z

księżycyca. Stąd przewalili dowcipnie poniedziałek „księżycowym dniem”; po ichniemu „Montag”.

Ponieważ starożytnym germańskim obyczajem było drugiego dnia pracy przyśpiewywać sobie do wtóru (fałszywie, bo to było wieki przed Wagnerem), obserwujący te praktyki Słowianie nadali owemu dzionkowi miano „wtorka”. Nie byłiby jednak sobą, gdyby ich to nie wkurzało; przeto też równie pilnie obserwujący Germanie, słysząc nadlatujące ku nim przekleństwa, narzekali w niebogłosy „ach, ta słowiańska ansa!”. I od wyrażenia „ta ansa” (po germańsku „die Ansa”) wzięło się słowo „Dienstag” (dosłownie „dzień tej ansy”).

Wrzaski słowiańsko-germańskie ulegały zazwyczaj takiej eskalacji, że dochodziły do uszu Rzymian, którzy tamtejszą porą trzymali w garści Europę i uchodzili raz za Wielkiego Brata, raz za żandarma kontynentu. Toteż w trosce o porządek zjawiał się następnego dnia legion jeden czy drugi i najpierw pałował barbarzyńców, a potem obkładał ich mandatami i kosztami interwencji. Słowianie radowali się, widząc jak makaroniarze zdzierają z Germanów środki płatnicze i dlatego nazwali ten dzień klęski „środą”. Germanie z przyjemnością słuchali jęków pałowanych Słowian i na cześć rzymskich środków perswazji nazwali dzień interwencji „środkiem cotygodniowym na wstrzymanie”, co z czasem uległo skróceniu do dwóch pierwszych słów - zgodnie z językowym obyczajem germańskim brzmi to „Mittwoch”.

Każdy może się domyśleć, że następnego dnia oba interesujące nas ludy zarzucały sąsiadom, że to przez nich stały się wczorajsze nieszczęścia. Od słowa do pięści, od pięści do toporka i zaczynała się zadyma germańsko-słowiańska zwana przez Słowian „czwartkiem” (od „ćwiartowania”), a przez Germanów - „Donnerstag” czyli „dniem burzy i naporu”. Oczywiście, rozróbę toczono w absolutnej ciszy i w gąszczu, by znów nie narazić się legionowej policji.

Zmagania te trudno było przedłużać, bo przecież piliły inne zajęcia, toteż weszło w zwyczaj, że o północy ogłaszano demobilizację, czyli dzień wolny („Freitag” po germańsku) od służby wojskowej. Na wyznaczonej polanie spotykał się ważny Germaniec z niemniej ważnym Słowiańcem i po dłuższych przekomarzeniach przerywanymi rękoczynami dochodzili do rozejmu. „No to przybij pan piątkę” recytował tradycyjnie w końcówce Słowianiec, a Germaniec przybijał. Nic dziwnego, że pojawiło się słowo „piątek”.

Termin „sobota” wziął się prawdopodobnie od tego, że w dniu szóstym Germanki sobie tkwały na krosnach, zaś ich mężowie i synowie po fajrancie sobie tkali do

gęby piwsko i golonę. Z kolei Słowianie w tym samym czasie grzali na słońcu okowitę, przez co szybko ogarniała ich pomroczość i już koło południa wydawało im się, że to wieczór. Dlatego złośliwi sąsiedzi nazwali przedostatni dzień tygodnia „słonecznym wieczorem” („Sonnabend”).

W niedzielę, jak sama nazwa wskazuje, nic się u Germanów nie działo. Przodkowie nasi z tego powodu też nie mieli nic do roboty, więc z nudów kontynuowali czynności sobotnie, co Germanie szybko zauważyli i nie wysilając się nadmiernie (dnia tego zwykli przecież odpoczywać) nazwali niedzielę „słonecznym dniem” („Sonntag”).

Jak było, tak było z tym sąsiedztwem, ale przynajmniej dorobiliśmy się wspólnie istotnego fragmentu kalendarza.

JAK PRZEŻYĆ FERIE

Ledwieśmy odpoczęli po świętach Bożego Narodzenia, a już dopadł nas Sylwester. Kiedy wspomnienia naszych wyczynów z przełomu lat jęły się z wolna zacierać, nadeszły zimowe ferie w szkołach. I znowu trzeba odpoczywać. A mało jest tak wyczerpujących zajęć jak odpoczynek; tak naprawdę wytchnienie przychodzi do nas tylko w pracy - od czasu do czasu.

Ferie to okres, w którym nauczyciele nie pilnują przez połowę dnia naszych pociech i kiedy dostajemy wezwanie na komisariat w celu odebrania zatrzymanego właśnie potomka, nie możemy sobie ponarzekać na nieróbstwo i niekompetencję ciała pedagogicznego. Zamiast tego musimy bąkać coś na temat demoralizacyjnego wpływu nadmiaru czasu na nadwrażliwą młodzież. Kiedy sąsiad domaga się odszkodowania za lakier samochodu, w którym to lakierze nasza dziecina pracowicie wyrwała gwoździem napis „brudas”, zmuszeni jesteśmy improwizować, tłumacząc sąsiadowi, iż o tej porze dziecina zwykła być wzywana do tablicy, by smarować po niej kredą; „to odruch warunkowy” pleciemy żałośnie „nawyk rodem ze szkoły, który musi się zrealizować, a tymczasem klasy zamknięte na trzy spusty”. Zaraz potem nadbiega sąsiadka, której nasza córka wyrwała torebkę i znów musimy wyjaśniać, że to po prostu pora dużej przerwy, kiedy to dzieci młodsze dzielą się tradycyjnie swoim drugim śniadaniem z dziećmi starszymi, o wyższej kategorii wzrostowej i wagowej. „Pani taka drobniotka” wzdychamy „a ta pani torebka wygląda jak tornister”. Wiśniewskiego, któremu syn nasz przypalantował w ucho, uspokajamy z trudem prosząc, by nie widział w tym nic osobistego a tylko zbieg okoliczności, który spowodował, iż jest on w typie urody zbliżony do pana od matematyki.

Niektórzy rodzice, chcąc uniknąć nieprzyjemności wskazanego wyżej rodzaju, na czas ferii wysyłają dzieci do krewnych na wieś, sami zaś pławią się w ciszy i spokoju. Po paru dopiero dniach przychodzi telegram z zawiadomieniem o wydaleniu potomstwa ze spokrewnionej chałupiny i żądaniem ich natychmiastowego odbioru. Na miejscu dowiadujemy się o paru niewinnych psotach, które zbulwersowały nietolerancyjnych wieśniaków. Skarży się kot Mruczek z puszką przymocowaną do ogona, pies Burek odmawiający ciągnięcia sanek i koń upodobniony do zebry przy zastosowaniu szwarcpasty. Sytuacji nie poprawia ani bałwan uczyniony na obraz i podobieństwo miejscowego sołtysa, ani płaczliwa Krysia z sąsiedztwa ciągle przywiązywana do pala mę-

czarni. Mimo, że straty materialne nie są duże (jeden spalony stóg), opinia wiejska stawia zdecydowane veto.

Dobrym pomysłem, łatwym do zrealizowania dla co majątniejszych rodziców, wydają się kolonie. Nie dziwi nas, że kierowca kolonijnego autobusu stawia się do pracy w stanie wskazującym na spożycie. Nikt trzeźwy nie usiadłby za kierownicą pojazdu wypełnionego wyjąca tłuszczą podekscytowanych małolatów. Tylko zamroczeni wychowawcy mogą zdzierżyć gry i zabawy podrózne uprawiane przez podopiecznych. Aby dotrzeć na miejsce, zlikwidować trzeba dwie próby uprowadzenia pojazdu, trzy usiłowania podpalenia, cztery przypadki rozboju i dwadzieścia dwa omdlenia. U celu podróży rozdzielić należy drogą losowania wymieszane dokładnie bagaże i trzynastę portmonetek znalezionych za pazuchą przerośniętego Józia. Rozdzielić trzeba też Beatkę, Iwonkę i Kasię, które zżera zazdrość o przystojnego Waldka. Ale to przecież zmartwienie najętego personelu. Rodzice mogą zająć się domem albo chociażby sobą. Muszą tylko uodpornić się na listy upominające się o gotowiznę, bądź przepelnione chęcią powrotu z uwagi na nudę i przerażający reżim nakazujący codzienne mycie zębów. Za to te z dzieci, które przeżyły trzy kocowy i dwa zatrucia salmonellą, wracają do domu nieco wyładowane. Wyładowane z energii, zaskórniaków, dwóch swetrów i kożuszka.

Rodziciele szczególnie żywotni i tacy, którym wszystko jedno, mogą się zdecydować na czwarty sposób odbycia ferii, a mianowicie na wyjazd w Polskę razem z milusińskimi. Jeśli tylko są w stanie przełajowo ciągnąć sanki, wyławiać topielców z przerebła, gasić góralskie chaty z drewna i nie popadać w obłęd od solidnej dawki decybeli. Jeśli potrafią pogodzić Jasia, który chce lepić bałwana, z Gosią, która zamierza iść na ślizgawkę.

W przyszłości ferie się będzie załatwiać dzięki technice kosmicznej. W okresie wolnym od nauki potomstwo będzie się hibernować w rodzinnej zamrażarce. Nareszcie będzie higienicznie, w ciszy i bez problemów wychowawczych. Daj, panie Boże, doczekać.

WALENTYNKI

Pana Zdzicha zastałem pochylonego nad listą najbardziej wpływowych ludzi świata. Wpływowych, a zatem bogatych. Po co panu Zdzichowi lista krezusów? Bo proszę państwa, zbliżają się tak zwane Walentynki. Czemu „Walentynek” akurat nosi toto miano - nie wiadomo bliżej. Wiemy, czemu nasz kontynent nazywa się „Europa” - bo ją byk wziął na rogi, czy jakoś tak. Więc może tę jakąś Walentynkę wziął na rogi zawiedziony małżonek? Ale podobno do mężatek pisać walentynkowo nie uchodzi. A może uchodzi, tylko, że nie warto, bo i tak przeczyta to mąż. Jak przeczyta, to według naocznych świadków odnosi wrażenie, iż obrósł porożem i odzywają się w nim zwierzęce instynkty. Piszemy więc do pańienek w nadziei, że z ręki absztyfikanta mniej boli. Może mniej boli, ale wstyd jakby większy. Stąd wziął się zwyczaj, by nie podpisywać. Niech leje na oślep, może nie trafi. Ale boli też, kiedy wybranka nie dopasuje anonimu do nadawcy i odda się temu z przeciwka, którego nie lubimy. Choć z drugiej strony cieszy taki dowód przemożnej siły naszej poezji. Przy okazji: stanowczo dementujemy plotkę, że to się nazywa „Walentynki” ze względu na wieloryby. Choć może to taka przestroga: sprawdź, do kogo piszesz, aby nie trafić na kaszalota.

Okazało się, że pan Zdzicho chce napisać walentynkowo do Billa Gatesa. Dlaczego? Bo Bill Gates ma piętnaście miliardów dolarów. Ale panie Zdzichu! - zakrzyknąłem - pisze się do płci przeciwnej! Może do przeciwnej - odparł pan Zdzicho - cóż z tego, gdy na liście mam samych chłopów. No, ale nie kocha pan chyba Billa Gatesa? Kocham Billa - odparł pan Zdzicho z prostotą. Zapewne była to miłość z rozsądku.

Myślałem długo nad przypadkiem pana Zdzicha. Po piątym jasnym naszło mnie, że może pan Zdzicho ma rację. W końcu powiada starożytny poeta, iż nie ważny jest obiekt, ważne jest uczucie. Chociaż obiekt też jest istotny. Trudno zastąpić Billa Gatesa. I kto jak kto, ale B. G. powinien być dostępny w Internecie. Dostępny na pewno, ale czy przystępny? Sie dowiemy, ino do dzieł przystępny. No to zdecydowane. Piszemy do Billa.

Billu!

Billu Gatesie, kocham Pana. Zawsze miałem słabość do ludzi sukcesu. Do ludzi wybitnych i utalentowanych zwłaszcza. Zawsze podziwiałem Pana i czułem, że łączy nas przemożna siła magnetyczna. Dlatego wymogłem na mojej redakcji, by podłączyła

się do Internetu i otworzyłem w banku konto, którego numer ośmielałem się unaocznic na nagłówku. Nadmieniam, iż mój bank jest to godna szacunku i zaufania oraz nowoczesna instytucja, która honoruje komputerowe przelewy z najdalszych zakątków naszego globu. Bardzo współczułem Panu, kiedy to niedawno obrzucili Pana tymi ciastkami z kremem na oczach mass mediów. Mnie też czasem tu obrzucają, tyle, że nie ciastkami i raczej zaocznie. Do napisania tej walentynki - przyznam, że nietypowej - skłoniła mnie rozmowa z naszym redakcyjnym kapelanem. Ów pobożny mąż wielkiej wiedzy teologicznej odwiódł mnie ostatnio od nieprzemyślanego żądania podwyżki, do którego skłoniła mnie przejściowa słabość charakteru. Pouczył był mnie on o marności tego świata, a zwłaszcza jego mamony. Zawstydził mnie przypowieścią o świętym Franciszku, który gdyby był felietonistą, to utrzymywałby swą redakcję jak matkę rodzoną, miał ją szantażować z powodu średniej krajowej w sferze przedsiębiorstw. Skłonił mnie, bym się udał w plener z puszką na datki, co uczyniłem z ochotą i w poczuciu dobrze sprawowanej pokuty. Spotkałem się tam z niezrozumieniem wśród moich braci z Rumunii, gdzie wychowano ich w duchu bezbożnej nienawiści do wolnej konkurencji. Nie chcę się wdawać w zbyteczne szczegóły, więc pomnę to, iż jeden z tych nieszczęsnych grzeszników w bezrozumnej zajadłości urwał mi lewą nogę i jakby nie dość mu było - także prawą rękę. Członki wspomniane przechowywane będą w naszej redakcyjnej lodówce do czasu, kiedy nasi wierni czytelnicy nie złożą się na ich przyszybie. Czy w Kaliforni lekarze też tyle biorą? Nasz redakcyjny kapelan powiada, że prędzej wielbłąd się przecisnie, niżli bogaty wnijdzie do królestwa. Dlatego mi Pana żal i dlatego piszę. Niech się Pan nie da przetransferować do ognia piekielnych przez głupie zielone. Nie dlatego zabieram Panu czas, że szarym jestem człowiekiem i że pora szare uzielenić, skoro tyle lat się szare przerabiało na zielone. Czy ja mówię, że pora zmienić front? Jeśli Pana zastanawia, dlaczego w nagłówku nie podałem numeru konta redakcyjnego, to uprzejmie wyjaśniam, że chcę redakcji zrobić niespodziankę.

Niech będą pozdrowieni ludzie dobrej woli, a więc Pan przede wszystkim.

No cóż, wysłane. Czy będzie skutek? Z pewnością. Nie wiadomo tylko, czy pozytywny. Ciekawe, czy pan Zdzicho też wysłał walentynkę do Billa? A jeśli Bill upodoba sobie w panu Zdzichu? Przewrotny zawsze ubezpieczony. Co wadzi wysłać walentynkę do pana Zdzicha?

Mój Zdzichu!

Mamy tu u nas, w Dolinie Krzemowej, taki sympatyczny zwyczaj. Nazywa się „Walentynki”. Jeśli Ty upodobałeś sobie mnie, a ja lubię Cię, to Ty wysyłasz mi prezent, a ja wysyłam Tobie. Przyjęło się, że wysyłamy sobie miesięczną wypłatę, aby było sprawiedliwie i biedny wykładał mało, a bogaty - dużo. Przeto Ty, Zdzichu, prześlij mi numer konta i zostaw we środę o osiemnastej tę swoją wypłatę przy zsypie, zawiniętą w „Przemiany”. Te nowe, zielone. A ja Ci za to przetransferuję zielone z mojej doli kapitałisty. Co Ty na to, Zdzichu? Nie zawieź mnie, to ja nie zawiodę Cię. Twój Billy Gates.

I kto by pomyślał, że ten nowy, amerykańskiego pochodzenia zwyczaj okaże się taki inspirujący.

DLACZEGO LUTY?

Nie wiem, czy państwo zauważyli, że luty jest inny. Nie wiadomo właściwie, czy w nagrodę, czy też może za karę. Luty ma mniej dni, niż pozostałe miesiące i to źle, bo w lutym mniej się da dokonać. Ale za to luty jest krótszy, więc to dobrze, bo lud najemny mniej się w nim napracuje. Ci, co mają stałe miesięczne wynagrodzenie, chwalą sobie ów miesiąc, bo im wzrasta średnia dzienna. Ci, co robią na akord lub dniówkę, nie widzą w tym lutym niczego szczególnego. Ludzie uporządkowani lubią drugi miesiąc roku, gdyż dzieli się na tygodnie bez reszty. Chyba, że rok się nazywa „przestępny”, a tak się nazywa, bo to granda, jeśli się z porządnego miesiąca robi nieporządny. A tak w ogóle, to można byłoby wszystkie miesiące zrobić jak należy, czyli wyrównać do czterech tygodni, a z reszty zrobić miesiąc trzynasty. I ktoś to chyba próbował kiedyś zrobić, bo przecież wypłacało się tu i ówdzie trzynastkę. Ale pomysł upadł z powodu przesądów: nikt nie chciał pracować w miesiącu trzynastym. Co innego wziąć trzynastkę, jako że pieniądze pecha nie przynoszą. Brało się przecież i czternastkę, a jak można wziąć czternastkę, nie wzięwszy wprzódy trzynastki? Myślano już o piętnastkach i szesnastkach, ale stary reżim się skończył, nim dzieła dokończył.

Niektórzy samochodziarze sądzą, iż luty dlatego taki jest krótki, że akumulatory przeciętnie około dwudziestego ósmego lutego tracą żywotność, przez co pojawiła się pilna potrzeba przyspieszenia pierwszego marca. Jest też wersja, że załatwiło to lobby drobiarskie, ażeby lepiej dopasować wiosenny wysyp jaj do terminarza świąt Wielkiej Nocy. Historycy przebakują, że jest pomysł starożytnych senatorów, a wszyscy wiedzą, że senat do wszystkiego jest zdolny, byle tylko zaznaczyć swoją obecność. Według meteorologów luty jest cieplejszy od stycznia, ale to może od niedawna, bo drzewiej musiało być na odwrót i skurczył się on nam z tej właśnie termicznej przyczyny, czyli z zimna po prostu. Świadczy o tym pośrednio również krótkość nazwy, która najwyraźniej uległa analogicznemu procesowi. Prawdopodobne jest też, że dawne rolnicze społeczeństwo zimą, nie mając co siał, ani jak orać, oddawało się hulankom i innym ekscesom, jak o tym świadczy przykład Pawła i Gawła, co w jednym stali domu, oraz zabawom strażackim w remizach z wyszynkiem, jak o tym świadczy przykład prezesa Pawlaka, albo też zwadom sąsiedzkim, jak nam to unaocznia casus Pawlaka i Kargula. Ktoś to pewnie postanowił ukrócić, no i ukrócił kosztem lutego. Mnie osobiście

przekonuje zdanie pana Zdzicha, który jest pewny, że to sprawka fiskusa pragnącego przyspieszyć rozliczenia roczne.

Jest też wytłumaczenie literackie. Nasz pierwszy noblista, niejaki Sienkiewicz, opisuje nam, jak to w gospodzie „Pod lutym turem” w lutym brzdąkano na lutni, co co młodsze dwórki doprowadzało do upadku w ramiona różnych bogdanków z Bogdańca. Z Bogdańca pochodził obecny „Pod lutym turem” Maćko, o którym tradycja ludowa mówi, że leżał na desce, ale jak zagrali, to podskoczył jeszcze. Zaś jego kochliwy krewniak Zbyszko podochocony zdradliwą muzyką na lutni i chwiejną postawą panienek z Mazowsza, lutnął coś sobie dla kurażu i podskoczył jakiemuś dyplomacie z obwodu kaliningradzkiego z powodu pawia. Szczęściem niejaki Powął z Taczewa skasował mu kopię, prawdopodobnie video, chcąc zminimalizować aferę. W ostatniej chwili zresztą, bo niedługo potem osobiście zatoczył się i na ziem powalił, jako to miał we zwyczaju, o czym jego ksywka świadczy. Taki to był wtedy ten nasz naród sarmacki. I zrobiła się sromota, bo ten dyplomata, imieniem Kuno, powiedział, że on osobiście nic do tego nie ma, że Zbyszko chciał mu sprzątnąć tego jego pawia, ale jako urzędnik nie może darować kopiowania, bo to zamach na immunitet. No to ci z ministerstwa spraw zagranicznych kazali uciąć aferze łeb, ale wdała się w to Danuśka, ta upadła Mazowszanka, i tak zakręciła sprawą, że w końcu kat uciął lutemu dwudziesty dziewiąty z trzydziestym i się nagle okazało, że sprawy nie ma, bo wszystkie protokoły są datowane na dni, które wypadły wszystkim z kalendarza. I tak to pozostało na wieczną rzecz pamiątkę do dziś.

Wersja polityczna jest taka, że różowi dogadali się z czerwonymi i odstąpili końcówkę lutego uwłaszczonej nomenklaturze, która teraz zbiera się trzydziestego rzeczonoego miesiąca i kiedy tylko zapragnie, odprawuje sobie Zjazdy PZPR, posiedzenia Biura Politycznego i po staremu na posiedzeniach Sejmu nie słyszy i nie widzi. Byli sekretarze z nostalgią organizują sobie naonczas plena, egzekutywy i nasiadówki, a ła im się w oczach kręci. Byli członkowie rządu podejmują kluczowe decyzje i dzwonią po bratnie wskazówki. Ale wskazówki obracają się nieubłaganie, o północy pieje kur i diabli przychodzą po realny socjalizm. Ale co towarzysze przeżyli, tym się nacieszyli, dla rodziny przez tydzień są mili, a gdy zblakną wspomnienia, otrzepują sobie trzydziestego i dawaj wspominać jeszcze raz.

Są co prawda, i tacy, co nas uświadamiają, że koniuszek lutego dostał się w ręce podziemia mafijnego, który trzydziestego zarządza wielkie pranie wiedząc, że nie dosięgnie ich wtedy sroga prawica sprawiedliwości, bo dnia tego nie ma. A kiedy o

północy kur zapieje, wszyściutko jest już czyściutkie, pachnące, świeże i estetyczne. Wpada sobie policja i prokuratura i co widzi: istna biała strefa. Pieniążki legalne, podateczki popłacone, a czarne owce spoczywają w eleganckich trumienkach gotowe do chrześcijańskiego pogrzebu.

WŚCIEKŁA KROWA

Z naszego kursu historii wiemy, iż przed laty trapiły pradziadów francuska choroba, ruski miesiąc, czeskie błędy, pruskie kwasy i tureccy święci. Dziś nam zagraża hiszpańska zaraza. Nigdzie tak wściekle krowy nie obrodziły, jak w Hiszpanii. Wiemy z telewizji, że gonią owe bydłeta przechodniów po ulicach i wszczynają burdy na stadionach, gdzie nie reagują na machanie czerwoną szmatą z napisem „stop” i ochroniarze zmuszeni są zakłuwać je szpadami. Póki grasowały w Hiszpanii, cóż nas to obchodziło? Ale jeśli Anglicy przesyłać nam je w puszkach, żeby nam robiły gąbkę z mózgu. No to prezes, niby Rejtan, zastąpił im drogę na granicy i pokropił cłem. Cofnęły się na moment szkarady, przegrupowały i jak się nie zaczną wślizgiwać pod postacią żelatyny. I rzekł tedy żelatynie rząd: żelatyno, precz mi stąd. A teraz słyszymy, że Brytyjczycy wzięli się za klonowanie owiec, żeby nabrać wprawy. A potem naklonują wściekłych krów i co z nami, rodacy? Czarne chmury wiszą nad ojczyzną miłą. Czy po to żeśmy się o EWG bili? A NATO co na to?

Własną osobą wysłaliśmy wywiadowców w lud, aby wysondowali opinie na temat wściekłości krów, szkodliwości żelatyny i smutnych następstw klonowania. Własną osobą nawiedziliśmy też pana Zdzicha, aby zrobić z nim wywiad. Pan Zdzicho zna, okazało się, od lat wściekłą krowę z naprzeciówka. Co do żelatyny, to kisielu nie spożywa, galaretkę, owszem, zakąsa, ale zaraz dezynfekuje brzuch roztworem spirytusu, najchętniej pięćdziesięcioprocentowym. Wściekłej krowy z naprzeciówka nie klonował, choć uczynił to raz kiedyś pewien nierozważny jegomość i do dzisiaj mu ściągają z pensji. W ogóle pan Zdzicho sprawiał wrażenie niezbyt przejętego problemem, a nawet zadowolonego, kiedy mruczał do potomka: słyszysz, Jasiu, słyszysz? Od jutra zero grosza na hamburgery!

Pan Antoni z Wrzesińskiej nie spotkał się dotąd ze wściekłą krową, ale onegdaj raczono go ponoć mlekiem od wściekłej krowy. Faktycznie! - powiedział nam - mózg całkiem mi się zrobił gąbczasty od tego, a Kopytkowskiego, co też te dziwo pił, naszło straszne zwyrodnienie umysłowe i pod wpływem zapisał się na Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu. Żelatyna od dawna budziła u pana Antoniego zastrzeżenia i zgłosił nawet na nią zażalenie w prokuraturze, ale zostało zlekceważone z iście angielską flegmą. Namnożyło się nam zwolenników Europy i wrogów narodu - podsumował z goryczą nasz rozmówca. Był pewien, że ekspansja zwyrodnienia jest u nas w pełnym toku, bo inaczej nie byłoby tylu u nas źle myślących. Co do klonowania,

to zgodził się, że godne jest potępienia w odróżnieniu od świerkowania, sosnowania i bukowania, które dobrze robią polskim lasom.

Panna Iwonka z sąsiedztwa często ma do czynienia ze wściekłą zazdrością, ale nie posunęłaby się do nazywania tych pań „krowami”. To tylko małe cielaczki - oznajmiła z wielką tolerancją - niektóre całkiem miłutkie, jak już im przejdzie. Ze zwyrodniałą gąbczastością w zasadzie się nie spotyka, raczej już z wybujałym usztywnieniem. A gdyby nawet, to od czego mamy żelatynę? - spytała filuternie uśmiechając się uroczo. Chętnie dałabym się sklonować, gdyby to miało uszczęśliwić świat - powiedziała na koniec i widać było, że wierzy w szczęśliwą przyszłość globu naszego.

Józef W. nie cierpi głównie świętych krów. W ogóle wściekły jest jak byk. Narzeka na powszechne zwyrodnienie głąbczaste. Zwyrodnialcy nie chcą mu iść na rękę, a głąbczaści - nie potrafią. Jedna mafia przemycza do nas żelatynę, druga - u nas ją produkuje. Józef W. obie by przekształcił chętnie w surowiec dla przemysłu spożywczego. Nie trawi galaretowatych wymoczków tak samo jak kościstych rogaczy. W zasadzie nie trawi niczego. Sklonowałby się, gdyby mógł, w maksymalnej ilości egzemplarzy. Sam nie dam rady wszystkich obsobaczyć - kończy ponuro i obsobacza naszego wywiadowcę w poczuciu dobrze pełnionego obowiązku.

Jolanta G. uważa, że każdą krowę da się wydoić. Rozumuje jak komputer. Jeśli krowa nie dojona, więcej mleka ma ci ona. A normalny oborowy nie dotyka wściekłej krowy. Strach ją łąpać za wymiona, zatem rzadko jest dojona. Więc biznesmen rozwojowy ceni sobie wściekłe krowy. Jeśli zaś chodzi o gąbczastość mózgu, to daj, Panie Boże, by się rozpleniła wśród konkurencji. Dlatego w trakcie negocjacji Jolanta G. suto karmi rozmówców budyniem i polędwicą w galarecie, do czego każe podawać cienkie wino o nikłej mocy odkażającej. Prowadząc wypożyczalnię strojów i akcesoriów ślubnych ma negatywny stosunek do klonowania.

A co na to Sowa Przemądrzała? Z punktu widzenia nauk rolnych i ekonomicznych dobrze jest, jeśli epidemia choroby wściekłych krów dopada innych, źle natomiast, jeżeli dopada nas. Jeśli wymorduje się i spali bydło angielskie, to dobrze dla hodowców bydła w Polsce. Nie da się jednak wymordować i spalić bydła polskiego, bo lud wiejski zażąda odszkodowań i nie dostawszy ich (bo skąd), przekuje kosy na sztorc i powstanie. Dlatego przezorny polityk, zwłaszcza wiejski, już teraz musi łożyć na badania naukowe i pilnie baczyć, by jedni eksperci udowodnili, jak wielkie jest zagrożenie, a drudzy czarno na białym wykazali, że w ogóle wściekłych krów nie ma. Póki epidemia grasuje na zachodzie, dopuszczać trzeba do głosu tych pierwszych, jeśli by jednak coś ją

do nas przywlekło, natychmiast trzeba unaocznic opinii publicznej, jak bardzo bezsensownie ci pierwsi bełkotali. Trzeba być czujnym, zwartym i gotowym do błyskawicznej zmiany przekonań.

To samo z klonowaniem. Co nas właściwie obchodzi, czy Kowalski z przeciwka rozmnoży się za pomocą świeżo obciętego paznokcia, czy też tradycyjnie wytworzy potomka metodą chałupniczą przy użyciu baby domowej? Ale jest to ważne dla prześladowców seksizmu i obrońców naturalnego poczęcia. Przeciwnicy seksu powinni być za klonowaniem jako reprodukcją bez grzechu; dzięki klonowaniu będą mogli odwrócić się od koedukacji, zabronić randek i odseparować płci. Z kolei zwolennicy robienia tego po bożemu, erotomani i stolarze mogą zjednoczyć się w obronie świętości małżeńskiego łóża.

O WPLYWIE ŚWIĘTA KOBIET NA STAN WĄTRÓB MĘSKICH I ŻEŃSKICH

Ponieważ w zasadzie nie mam nic przeciwko kobietom, a nawet je lubię, składam niniejszym gorące wyrazy, barwne kwiatki, fikuśne fatalaszki i błyszczące drobiażdżki na ręce dam, które owe pismo wzięły w swoje ręce po to, by je przeczytać. Wszystkiego milego i wesolutkiego Dnia Kobiet. W zależności od upodobań życzę bądź to obchodów hucznych, bądź to zacisznie cichych, w stylu tradycyjnym bądź w nowatorskiej oprawie.

A jak to u nas jest z tym Dniem Kobiet?

Pan Zdzicho w pierwszej dekadzie marca wypija zdrowie kobiet. Jako człowiek bywały i cieszący się ogólną sympatią ma wiele do roboty i honoruje liczne niewiasty kosztem swej osobistej wątroby, a także wątrób tak przyjaciół, jak i naszych dzielnych zwierząt domowych, bo ma zwyczaj zakąszać wątrobianką. Odbywa się to też z uszczerbkiem dla wnętrzości jego osobistej małżonki, bo nie wiadomo dlaczego męzowskie obchody zalegają jej na wątrobie.

W ogóle zbyt wiele leży nam na wątrobie. Jest to niewątpliwie jeden z najbardziej obciążonych organów. Zwalają się nań wszystkie używki, a zwłaszcza tych używek nadużywanie, a następnie żale przeróżne i zgryzoty, rewanżyzm i rewizjonizm, lustracja i dekomunizacja, a także brak powyższych. Wiedział o tym prezes Wiśniewski i dlatego zwołał zebranie zarządu. Chciał uczcić Dzień Kobiet w taki sposób, by było miło, z szacunkiem i wylewnie, a jednocześnie ekologicznie i z poszanowaniem naturalnych praw wątroby. „Skoro wylewny ma być” - rzekł pan Marian, który w firmie kieruje magazynem - „to koniecznie trzeba kupić szampana”. „Raczej piwo” - poprawił pan Zygmunt z działu kadr. „Ale jak to się ma do wątroby?” - spytał prezes. „Niestety” - westchnęła pani Jola, która zaliczyła trzy semestry na Akademii Medycznej - „niezbyt pozytywnie”. „Ale bąbelki pozytywnie robią na humor” - bronił szampana pan Marian. „A piwo przeczyszcza nereczki” - upierał się przy swoim pan Zygmunt. „A wódeczka dezynfekuje drogi pokarmowe” - zachrypiał nagle pan Florian z zaopatrzenia. „Dosyć tego” - zdenerwował się prezes - „bo każę kupić alkomat i zainstaluję go na portierni. Pani Jola twierdzi, że medycyna wypowiada się przeciw alkoholowi i za wątrobą”. „Medycyna tak, ale lekarze sobie nie odmawiają” - syknął pan Florian upierdliwie i bez szacunku dla ludzi pracy spoza branży. „To postawmy kawę” - zaproponowała pani Iwona, księgowa. „Broń Boże” - przeraziła się pani Jola - „kawa to bicz na wątrobę”. „No

właśnie” - podniósł pan Marian - „wróćmy do pierwszej koncepcji. Jak słyszę o łamaniu staropolskiego obyczaju, to mi się wątroba przewraca”. „Wróćmy do wylewania” - zabrał głos pan Zygmunt z działu kadr - „i wylejmy paru antyfeministów. Święto uczymy i przy okazji zlikwidujemy przerosty zatrudnienia”. „Kogo ma pan myśli?” - zawarczał pan Marian. „Pana” - powiedziała kwaśno pani Iwona - „pan kiedyś mówił coś o kobiecie i delfinie. To skandal. Dawno powinno tu już pana nie być”. „I o kobiecie i wielbłądzie” - dodała pani Jola - bardzo to było niesmaczne”. „Przestańcie” - jęknął prezes - „bo zaraz dostanę kolki. Nie możemy wylać antyfeministów, bo kto będzie opowiadał kawały nie na miejscu? Będzie tak ponuro, że wszystkim zrobi się ciężko na wątrobie”. „Pozostają kwiaty” - zdecydowała pani Jola. „Dobrze” - westchnął prezes. „Wcale nie” - zaprotestował pan Florian - „posądzą nas o łatwiznę i brak poszanowania dla polskiej tradycji”. „Fakt” - poparł go pan Zygmunt - „zaprotestują wszyscy prawdziwi patrioci”. Skończyło się na tym, że firma postawiła paniom po kwiatku, kawie, pączku i kieliszku szampana. Zarząd po godzinach zebrał się przy dobrze zaopatrzonym barku. Po dłuższej degustacji nastrój się zrobił wylewny i każdy wylał trochę z owej żółci, którą wyhodował sobie na wątrobie. W końcu więc stało się dla wątroby lepiej.

Tymczasem w innych firmach, mniej przywiązanych do świętowania, nie obchodzi się podobnych imprez okolicznościowych. Może słusznie. W firmie prezesa Wiśniewskiego uroczystość się udała, bo pani Misia kupiła kwiaty, pani Luscia pączki, a pani Maria kawę i szampana. Pan Florian załatwił wódeczność, a pan Zygmunt browarek. Dla każdego coś miłego. Kobiety nowoczesne opowiedziały sobie kilka dowcipów o mężczyznach, a zwolennicy wyższości rasy męskiej - o kobietach. Bo bardzo skomplikowana jest anatomia rodaka naszego. Jeśli nadużyje używek, podroby mu nawalają, jeśli nie nadużyje, bołą go ze złości. I różne są organizmy rodaków naszych. Jedni dostają skrętu kiszek na myśl o lewicy, innych skręca widmo prawicy. I pomyśleć, że przy umywalce rączka rączkę myje, a przy obiadku prawica w nóż uzbrojona odcina kęsy dla lewicy dzierzżącej widelec.

To samo jest w życiu rodzinnym. Jak jednocześnie zadowolić wątrobkę pana Zdzicha i wątrobkę jego połowicy? Może znieść Dzień Kobiet? A może rozszerzyć go na pozostałe dni roku? A może w drodze rewanzu żona pana Zdzicha obejdzie sobie przy szampanie Dzień Chłopa?

ALFABET WOJEWÓDZKI

Trwają targi i przekomarzania na temat ilości przyszłych województw. Są tacy, którzy chcieliby mieć ich osiem, bo łatwo by je było zliczyć na palcach. Inni krzyczą o dwanaście, albowiem liczba to swojska, przez starych Polaków zwana pieszczotliwie „tuzinem”. Powszechnie wiadomo, że dwanaście mamy też miesięcy, czyż więc nie byłoby sympatycznie, gdyby każdemu z województw poświęcić jeden miesiąc? Niech by każde po kolei województwo w przypisanym sobie miesiącu stawało się centrum polskiego życia rozrywkowego na przykład. Albo politycznego. Albo jednego i drugiego pospołu. Można by również obdzielić te jednostki administracyjne znakami zodiaku. Ciekawe, które wzięłoby Barana. Wiemy, iż jest propozycja zrobienia siedemnastu województw jak za starego, dobrego Gomułki. Nie jest to głupie, bo siedemnaście jest liczbą pierwszą. Siedemnaście województw dałoby się podzielić tylko przez siebie i przez jedność, co automatycznie zapewniłoby unitarność naszego państwa i zapobiegłoby paskudnej landyzacji. Mówi się w niektórych kręgach o magicznej liczbie „dwadzieścia i pięć”. Jestem za, bo w końcu mamy dwadzieścia paluszków, które zaginamy i pięć zmysłów, od których odchodzimy. Ale co to, azali nie proponuje się trzydziestu dwóch - po jednym na każdy ząbek? Ludowcy chcą czterdziestu dziewięciu, ale oponują brydzyści, dla których jest jasne, iż województw musi być pięćdziesiąt dwa: tak, iżby każde znalazło swą szczęśliwą kartę. I tylko jednemu przypadnie dupek żółdny.

My, ludzie zmotoryzowani i piśmienni, chcemy dwudziestu czterech województw. Po jednym na każdy znak łacińskiego alfabetu. Dzięki temu tablice rejestracyjne zaczynać się będą w każdym województwie od innej litery. Ale też z tego powodu każde z województw winno się nazywać na swoją głoskę. Dość już gorszących przypadków znanych nam z terazniejszych doświadczeń, kiedy to cztery z nich są na „b”, pięć - na „p”, sześć - na „s” i ani jedno - na „a”!

Suwalskie i białostockie możemy sobie wyobrazić jako zjednoczone w prowincję augustowską z żubrem w herbie i żubrówką jako produktem eksportowym głównym. Z czterech jednostek terytorialnych na „b” zostawiłoby się pewnie bielskie z siedzibą w Bielsko-Białej ze względu na upodobanie rodaków do malucha i białej wódki. Częstochowskie wygrywa z pewnością z ciechanowskim, ale zwolennicy Polski Ludowej skłonni są promować chełmskie. Bieda z literą „d”. Czyżby nie było godnego jej województwa? Browar Dojlidy już przydzieliliśmy augustowskiemu. Pozostają jedynie Dyrzymały

Górne z ich wstydlwym pociągim do denaturatu. Elbląskie nie ma konkurencji, ma za to piwo „EB”; musi się ostać. Niewiele mamy miejscowości na „ef”, choć znalazłoby się parę na „fe”. Cóż, mamy w obrębie stolicy Falenty i Falenicę, kto broni postawić tam odpowiednie biurowce? Gdańskie ze swoim Goldwasserem jest trudne do ominięcia. Nie zaszkodzi mu gorzowskie, bo i czym? Hel też musi być stolicą, w końcu geografo- wie widzą go na samym czubku. Na „i” największy jest Inowrocław. Mamy dalej Jele- nią Górę na „j”. Jelenia ma w herbie, gdyż żyje z turystyki. Łatwo się domyśleć, co tam popijają. Przyłączmy do Jeleniej Zieloną i może legnickie. Trudno rozstrzygnąć rywali- zację pomiędzy krakowskim i katowickim. Kieleckie odpada ze względu na dokuczliwe wiatry, kaliskie - bo piwo krotoszyńskie nad podziw jest paskudne, zaś o Koszalinie i Koninie mało kto słyszał. Ale krakowskie zostawić, czy katowickie? Rozstrzygniemy to metodą orła i reszki. Potem mamy chyba Lublin i lubelskie, jako że legnickie kojarzy się nieprzyjemnie z tatarem, a leszczyńskie - nadto swobodnie z orzeszkami. Łódzkie prze- bija łomżyńskie centralnym położeniem i ostrym czólenkiem. Aby Łomżanom smutno nie było, ustanowimy im województwo we Mławie i po zabawie. Nowosądeckie znane jest z góralskiej muzyki, w takt której po staremu lud miejscowy śący okowitę wciąż na nowo. Należy mu się istnienie, bo cała reszta to cepry. Opolanie wyglądają od ostat- nich wakacji na spłukanych. Czy ma z tego wynikać, że im się województwo należy, czy - że nie? Podobno spłukanych godzi się obdarowywać. Następnie przewidujemy prowincję poznańską, czyli Pyrlandię. Niech żyje Lech Kolejorz. Uzasadnienie jest zbędne. Radomskie ustąpi pewnie rzeszowskiemu, bo to w istocie szkieletczyzna. Ma szansę szczecińskie, bo ktoś musi pilnować porządku w Słupsku. Toruńskie wchłonie jednak bydgoskie, bo w Toruniu się lęgną twardsze pierniki. Na „u” wybije się pewnie Ustronie, jako że mało który samorząd chciałby w owe Ustronie wdepnąć. Wrocław nie da się wykopać, gdyż zawzięci tam siedzą lwowiacy. Na „x” mogą już być tylko Ksiu- ty. Będzie też siedziba władz wojewódzkich w Świnoujściu, bo miasto to uprawia sto- sunki komunikacyjne z Ystad. Choć może nie w Świnoujściu, a w Yarocinie albo Yabłonnej. Wszystko możliwe. Za to na koniec listy załapie się Zamość. No proszę, wyszło nawet dwadzieścia pięć i to tylko dlatego, że zrezygnowaliśmy przezornie z tego na „ku”. A bo przyczepiła nam się słowiańska litera „ł”, której nie dało się ominąć.

A teraz nieco poważniej. Wszystko zależy od założeń. Jeśli rzeczywiście chodzi o to, by województwa były silne i samodzielne, to faktycznie im ich mniej, tym lepiej. Zgadzam się z tym, że dla przeciętnego obywatela usadowienie siedziby interesu- jącej nas jednostki administracyjnej jest obojętne. Sam w Urzędzie Wojewódzkim zała-

twiałem coś tylko raz w życiu - i to za komuny. Obawa przed tym, że silne województwa będą się chciały wybić na niepodległość, jest dla mnie absurdałne. Nie w Polsce z silną tradycją patriotyczną - mimo modnie na zewnątrz prezentowanej cynicznej pozy. A gdyby nawet, powtarzam: gdyby, jakimś cudem pojawiły się tendencje odśrodkowe to co? Trzymać Polaków w kupie siłą? Jak Albańczyków w Jugosławii? Administracyjne lub siłowe rozwiązania nie sprawdzają się w praktyce: jedyne co rodzą, to terroryzm. Jedynym sposobem na separatystów jest danie im autonomii, by dla ich potencjalnych zwolenników stało się jasne, że narzekania ekstremistów na to, że dzieje się krzywda i ucisk, są wysane z palca. W gruncie rzeczy spójność państwa zależy w ostatecznym rachunku tylko i wyłącznie od postawy obywateli, jeśli się znarowią i postanowią odłączyć, to żadne posunięcia administracyjne nic nie dadzą. A strzelać chyba nam religia nie pozwala, co? No, tu też problem, co kto rozumie przez chrześcijaństwo, ale dla mnie po chrześcijańsku postąpił Havel, mówiąc Słowakom chcącym separacji: a pies wam mordy lizał, choć mógłby zwalić im na łby wojsko w imię świętej godności czeskiego narodu. Obawy o to, że środki wojewódzkie pójdą na centrum kosztem peryferii, byłyby zasadne, gdyby w województwie działała władza autorytarna; jeśli będzie działał demokratyczny samorząd, to już tylko od obrotności i zaangażowania radnych, od ich związków i koalicji zależy, co i gdzie popłynie. Z drugiej strony zrozumiałe jest, że niektórym żal, bo to prestiż. Najbardziej na pewno żal urzędnikom urzędów wojewódzkich narażonych na likwidację oraz osobom z ich otoczenia wyposażonym w dojścia i kontakty. Nie widzę jednak powodów, by ktoś taki, jak ja, miał się przejmować ich ciężką dolą. Warunek, oczywiście, jest taki, by zlikwidować wszystkie lub prawie wszystkie możliwości koncesjonowania, rozdawania, udzielania i przydzielania, w jakie mogłaby być uzbrojona administracja wojewódzka.

TOPIENIE MARZANNY I INNE OBYCZAJE WIOSENNE

Z początkiem wiosny wiąże się kilka barwnych, ludowych obyczajów. Jednym z nich jest topienie Marzanny, innymi puszczenie wianków, lany poniedziałek, prima aprilis, malowanie pisanek, trykanie się jajcami i wlana Wielkanoc. Jest też podobno zajacek z prezentami.

O splawianiu Marzanny donosi nam już Długosz. Dzieci w jego czasach wrzucały do rzeki lalkę po to rzekomo, by się pozbyć zimy. Ale co to ma do zimy? Pozbywały się lalki - nie zimy. Poza tym dzieci zasadniczo lubiły mroźną porę roku, bo mogły się wałkonić zagrzebane w barłogach, albo też obrzucać śnieżkami przejeżdżające mimo najnowsze modele konia wierzchowego. Mogły też ślizgać się na zbiornikach wody słodkiej pierwszej klasy czystości, której wokół była nadmierna ilość, bo poziom wód gruntowych był parę metrów wyższy niż obecnie i co krok ludzie wdeptywali w bagienko. Nie musiały za to zimą pasać gęsi i świniaków, a także strugać fujarek. Strugały za to wariata i udawały, że topią lalki, bo im się nie podoba pierwszy kwartał. Tak naprawdę topiły stare zabawki i wierciły potem rodzicielom dziury w kałdunach, by im sprawili nowe, odziane według najnowszej mody dworskiej. Tak zresztą robią do dzisiaj.

Co do puszczenia wianków, to każda pora jest na to dobra, a może są i lepsze niż przełom wiosenno-zimowy. O tej porze łatwo złapać wilka, zwłaszcza jeśli nierozumny obyczaj każe puszczać w plenerze, nad wodą bieżącą. Nie lepiej w stodole na sianie? Nad wodą puszczać w lipcu, cieleta, w marcu - pod pierzyną. Radzę dobrze.

Lany poniedziałek, czyli tzw. dyngus-śmigus, ma oczywisty związek z niedzielą, sobotą i piątkiem, w które to dni lud polski spożywał dzielnie okowitę w ilościach dla turystów z zachodu nie do pojęcia. Po owej biesiadzie rodak wypadał na świeże powietrze jakoby ten Kmicic i wołał na wiernego Sorokę, by mu zlał łeb paroma kubłami, bo wzroku odzyszczyć nie może. Z czasem uczynna publiczność, a w szczególności młodzież, która ongiś w moresie była chowana, jęła już lać bez pytania, z dobrego serca. To chłopów, bo baby się lało w ramach starożytnej tradycji mokrego podkoszulka. Finalistki konkursu proszone były potem o puszczenie wianków, ale o tym już przecież mówiliśmy. Ale mało kto wie, że w czasach zupełnie już zamierzchłych dyngus i śmigus były dwoma osobnymi obyczajami. Dyngus polegał na tym, że gospodynie dawały datki żywnościowe młodzieńcom wałęsającym się od domu do domu, co miało chronić od pożaru czy innego nieszczęścia. Śmigus to było uderzanie się na szczęście wierzbowymi różgami. W nowoczesnej wersji wołomińsko-pruszkowskiej krzepcy młodzieńcy krążą

od lokalu do lokalu i pobierają w lany poniedziałek datki, które chronią od pożaru i demolki, a od czasu do czasu dzielą tego czy owego baseballasem, bo takie już jego szczęście.

Z kolei *prima aprilis* to jedyny dzień w roku, w którym nikt nas podstępnie nie mami, nie oszwabia i nie naciąga. Agenci ubezpieczeniowi chodzą wtedy po domach, podsuwają polisy, zapewniają nas o bezpieczeństwie, jakie sobie na wieki zdobyliśmy, po czym kiedy już podpiszemy i uiścimy, machają do nas wesoło z ulicy i wołają „*prima aprilis!*”. Nie liczcie na to, że zawołają innego dnia. O tym, że to był żart, dowiecie się dopiero wtedy, gdy wystąpicie z roszczeniem. W dzień pierwszego kwietnia pracownik banku jest w stanie odpowiedzieć nam „*prima aprilis*” na pytanie, czy udziela korzystnych kredytów; kiedy indziej bez mrugnięcia okiem odrzeczce „nasz bank to bezpieczeństwo i zaufanie” i tylko skrzyżuje obłudnie palce za plecami. Dobrze jest też tego błogosławionego dnia kupić samochód na giełdzie, albo i w komisie. Będziemy pewni, że zostaliśmy nabrani i żaden cios w portfel nas nie zaskoczy.

Skąd się wzięło, że wiosną malują jaja, nikt nie wie. Może lepiej, że malują, niż by je mieli robić. Jeden z urzędników w fraucymerze sultana Solimana Wspaniałego namalował sobie, bo nie miał, a nie dał rady zrobić. U nas by sobie napisał, bo my mamy pisanki. Dziwne, ale w tradycyjnej sarmackiej rodzinie zdobią jaja raczej białogłowy. Dlaczego kurze? Podobno jajko symbolizuje początek. Przypuszczalnie ktoś wymyślił, że jak się ukraja jajko, to jest tak, jak by się ozdobiło początek, a wobec tego automatycznie również środek i koniec błyszczyć będą wesołymi kolorami. Ale może powód malowania jest bardziej zgrzebny, niż się wydaje. Każda białogłowa zdobiła pisanki w charakterystyczny dla siebie sposób; czy nie po to czasem, by złapać za rękę ewentualnego nieproszonego jajożercę?

I tymi pracowicie ukraszonymi pisankami trykają się potem rubaszni biesiadnicy, by się przekonać, kto z nich ma najtwardsze jaja. Tak im się wydaje, bo w rzeczywistości okazuje się, który dysponuje najgrubszą skorupą lub najbardziej zatwardziałym wnętrzem. Zdarzają się zresztą w tej konkurencji chwytły poniżej pasa. To wtedy na przykład, gdy zawodnik rzuca się do walki z dwoma jajami.

Najbardziej jednak charakterystycznym obyczajem wczesnowiosennym jest wlna Wielkanoc. Jest ona odprawowana tak samo niezależnie od regionu. Różne jedynie trunki się wlewa. Od samogonki do ruskiego szampana. Co dziwne, to nie trunk jest wlany, a wlewający. Jak już jest w tym stanie, śpiewa wesołe piosenki i opowiada kawały, póki się nie okaże, że zabrakło. Wtedy siada za kierownicą i dowozi.

Zajaczek w tym czasie przynosi prezenciki. Jak już przyniesie, podaje się go na stół w śmietanie. Dzieci na cześć zajaczka chrupią chrupki i dziamdziają czekoladę. Dziadunio czasem coś uciesznie zajaczka, a przeważnie ssie sztuczną szczękę, dziamdzia co da radę i pochrapuje z chrypką. Zwyczaj zajaczkowy wziął się z tego, że wilkom prezenty nosi Czerwony Kapturek. W zamian za to ktoś z lasu musi coś przynieść krewnym i znajomym Czerwonego Kapturka. Nie może to być gajowy, bo podpada pod budżetówkę. Nie może to też być niedźwiedź, bo skąd by wiedział, czy ktoś z domowników nie gra na giełdzie. Odpada sroka, bo ta wynosi, a nie przynosi. Dziecioł jest za głupi, a ostatnia wiewiórka zdechła na pylicę. Został zajac.

SYMPATYCZNY KOLOR ZIELONY

Kolory wzbudzają emocje albo nie. Emocje są albo ich nie ma. Jeśli są - to albo pozytywne, albo wręcz przeciwnie. Jeśli rodaka umieścimy w pomieszczeniu pomalowanym na jednolity kolor, będzie miał skłonność do określonego nastroju, uczucia lub stopnia pobudzenia związanych właśnie ze wspomnianym kolorem. Oczywiście, jeśli ów rodak jest normalny; bo jeśli - i tak będzie najczęściej - normalny bynajmniej nie jest, to będzie reagował w sposób przez podręcznik nie przewidziany. A z podręcznika wynika, dajmy na to, że czerwień pobudza, a zieleń uspakaja. Ale każdy wie, że ważne też są okoliczności, czyli tak zwany kontekst. Ta sama barwa w różnych okolicznościach, czyli kontekstach, budzić będzie różne uczucia. Planujemy swoją osobą cykl wykładów na temat oddziaływania niektórych kolorów, jako to brązowego, żółtego, czerwonego, czarnego i innych. Ze względu na wiosenną porę, niniejszym zaczniemy od zieleni.

1. Kolor natury. Zielona jest przyroda, głównie ta, co się zakorzenia i nie pęta z miejsca na miejsce. Są też zielone dziecięcy i żabki. Dlatego zielony jest sympatyczny. Lubimy przecież przyrodę, a zwłaszcza jej łono, na którym wyprawiamy majówki. Wyciągnięci na trawie czujemy się w sam raz. Znana przypowieść turystyczna opowiada nam o bacy, który właśnie na trawie leżał wyciągnięty i założywszy ręce pod głowę wołał ze szczerego serca: „O Jezu, o Jezu, o Jezu!”. Zapytany, o co mu właściwie chodzi, wydzielił z siebie wypowiedź rozwiniętą: „O Jezu, o Jezu, jak mi się robić nie chce!”. No cóż, natura kojarzy się nam z odpoczynkiem, a nasz baba odpoczywał przed pracą, jak to czyni chętnie każdy prawdziwy Polak. Po pierwsze zatem, zieleń to symbol odpoczynku w plenerze.

2. Kolor wolności. Zielone bywa też światło. Zielone światło mówi nam, że możemy iść na całość. Uwielbiamy iść na całość. Rodak biesiadujący na łonie gastronomii skłonny jest, gdy mu przed oczyma duszy mignie zielona poświata, zawołać na cały głos: „Kelner, po pół mineralnej dla wszystkich proszę!”. Przedstawiciel narodu, gdy mu w parlamencie zapalą zielone światło, rzuca się do reform. Ten sam przedstawiciel, znalazłszy się sam na sam z tak zwaną płcią przeciwną, skłonny jest na zielone światło zareagować odrzuceniem reform. I to właśnie jest ta zależność od kontekstu, o której napomknęliśmy byli powyżej.

3. Kolor ekologów. Zielonym sztandarem wymachują obrońcy środowiska. Bronią oni natury przed naturą ludzką. A bo ta ludzka natura przypomina im drożdżową. Jak wiadomo, drożdże łykają cukier i wydalają alkohol. Kiedy stężenie alkoholu przekroczy

pewną miarę, zabija drożdże. Rzec więc można, iż drożdże giną we własnych odcho-
dach. obrońcy środowiska głoszą, że ludzkość zużywa zasoby naturalne i produkuje
śmieci, które ją w końcu zaduszą. Pan Zdzicho natomiast mniema, iż człek to coś zupeł-
nie odmiennego od drożdży, a nawet wyższego jako następne ogniwo łańcucha. Człek
bowiem łyka alkohol i wydziela chuch ewentualnie kackupę. Pan Zdzicho nie wierzy,
by chuch i kackupa stwarzały śmiertelne zagrożenie dla kogoś, kto nie ma nadmiernie
wydelikaczonego powonienia. Delikatnym zaleca oddychanie przez usta. Ale wróćmy do
obrońców środowiska. Uwielbiają się oni przykuwać do rozmaitych nieruchomości na
znak protestu. Używają do tego wysoko przetworzonych produktów takich jak stalowe
łańcuchy i kłódki z zamkiem patentowym. Nie dowierzają, jak widać, łyku, powróstom i
niegarbowanym rzemieniom. Tak sprzeczna jest ludzka natura.

4. Kolor naiwności. Współ z bielą zieleń jest barwą niewiniątek i naiwniątek. U osob-
ników zielonych naiwność bierze się z niedojrzałości. Naiwność niedojrzała wykorzy-
stuje nie tylko łono przyrody, by się odnaleźć w malinach. Jest mile widziana na ma-
jówkach, bo daje się sadzać na mrowisku, co umożliwia późółkłym z dojrzałości miło-
śnikom natury łączenie odłowu owada z ulubionymi przez nich badaniami anatomicz-
nymi. Mnóstwo uciechy dostarczają zieloni namówieni do przejęcia pałeczki po drożd-
żach. Mile są widziani w kasynach, interesach i na giełdzie - zwłaszcza, gdy posiadają
zielone.

5. Kolor ruchu ludowego. Nie tylko ekolodzy kupią się pod zielonym sztandarem.
Zbierają się pod tą barwą również zwolennicy prezesa Kalinowskiego. Nie lubią reform
poza rolną, a powiaty spisali na straty. Mogą przystać na to, byśmy weszli do Europy,
lecz nie zdzierzą, jeżeli Europa wejdzie do nas. Wybrali sobie za godło koniczynkę nie
bacząc, że elektorat, napasiony takową, gotów doznać przykrego wzdęcia i paść, co się
też stało.

6. Kolor otwarcia. Zielony to nasze okno na świat. Za starego porządku trudno było
zażyć wolnego świata, póki się nie wyteżyło szarych komórek, by umyślić, jak tu zebrać
złote, żeby było co wymienić na zielone. Z zielonymi łatwiej było ubiegać się o pasz-
port, a jeśli nawet się tego dokumentu nie dostało, zawsze można było się wybrać w
podróż do Pewexu. Również i dzisiaj z zielonymi za granicą różnie.

Takie to skojarzenia mamy z barwą zieloną.

CZERWIEN

Mówiliśmy poprzednio o kolorze zielonym, że jest sympatyczny. Dziś powiemy sobie o czerwieni. Osoby z wyższym wykształceniem malarskim wiedzą, że czerwień kontrastuje z zielenią. Czy wynika z tego na pewno, że skoro zieleń jest sympatyczna, to czerwień jest do niczego? A co, jeśli ktoś lubi przyrodę, a jednocześnie nie cierpi zielonych i krzywi się na ludowców? A czy nie ma takich, którzy cechują się pewną nieśmiałością, w związku z czym nie odpowiada im zielone światło i wolą czerwone „stop”?

Czerwone nie jest obce przyrodzie. Wprawdzie zielone w naturze przeważa, ale są jeszcze maliny, truskawki, pąsowe róże i zachody słońca. Nie zapominajmy o wisienkach i czerwonym winie. Kiedyś działał w mass mediach pewien wokalista, który prawie codziennie dopominał się pomidorów i nie mogąc się ich w dobie gospodarki nakazowo-rozdzielczej doprosić, rozdzierał nam dusze łzawym „adijo pomidory”. Znani są nam też amatorzy papryki, buraczków i marchewki. Czy ci amatorzy czerwonego zgodziliby się, by ich zwano „zielonymi”?

Pojawiali się też w naszej ojczyźnie wielbiciele rumianego. Preferowali oni chichoczące pannice ze skłonnością do płonienia się. Czerwień na liczkach nie wiedzieć czemu kojarzyła im się z zielonym światłem i od tego puszczały im hamulce. Jeśli jednak udało im się dotrzeć do upragnionego celu, prosty lud, który lubi wszystko przekreślać, nie o hamulcach twierdził, iż się puściły.

Czerwony kolor służy też do drażnienia byków w Hiszpanii. Ale w sąsiedniej Portugalii przyjęło się denerwowanie byków zielenią. Świadczy to o jakimś utajonym pokrewieństwie owych kolorów. Dowód mieliśmy w naszym kraju, gdzie nie tak dawno się pokazało, że czerwone może towarzyszyć czasem zielonemu. Dlatego ZSL zawarł sojusz z SLD. Pokazało się też, iż towarzyszenie towarzyszeniem, ale zielone z czerwonym się gryzie. Dlatego też prezes Pawlak lubił czasem nacisnąć na czerwony guzik, gdy Oleksy cisnął na zielony. Może to zresztą był po prostu daltonizm. A może nie był, jeśli zważyć na to, iż podczas napięć koalicyjnych w sejmowej jadalni minister Miller ostentacyjnie pożerał na surowo zieloną sałatę, zaś poseł Pęk łykał był buraczki bez rozgryzania.

Dziś rządzi koalicja, która postanowiła czerwonym zapalić czerwone światło. I patrz pan, przyłożyli się do tego różowi. Ale czy to jest na pewno światło „stop”? Może chodzi o to, że czerwone światło powoduje, iż gołe fakty wyglądają przy nim znacznie atrakcyjniej? Są tacy, którzy posądzają wręcz nową władzę o chęć wywołania intymne-

go nastroju. Potrzebna jest miła atmosfera, gdy się chce przekonać do reform Millera. W kwestii reformy samorządowej czerwony szlaban opuszczono raczej przed tymi spod zielonego sztandaru.

Skomplikowane i trudne są u nas problemy stopowania i stawiania szlabanów. Takiemu pułkownikowi Kuklińskiemu połowa zaludnienia pokazuje „stop” i stawia szlaban, zaś reszta zapala zieloną latarenkę i pokazuje wolną drogę. Z jednej strony Leszek Miller wyciąga doń pomocną lewicę, a ze strony drugiej deputowani SLD nie chcą uczestniczyć w nadawaniu mu honorowego obywatelstwa Krakowa. Przeciwnicy Millera chętnie podają Kuklińskiemu prawicę, ale Lech Wałęsa ma do niego jakieś anse.

Kiedy sędzia piłkarski pokazuje zawodnikowi czerwoną kartkę, fani spostonowanej drużyny pokazują sędziemu czerwone ozory, po czym odpalają petardy i pędzą utoczyć krwi czerwonej sympatykom drużyny przeciwnej. Widać, że czerwień kojarzy się z zamieszaniem i zadymą. Poseł Pęk i inni zapragnęli pokazać czerwone kartki byłym współpracownikom służb specjalnych, by ich spędzić z parlamentarnego boiska, ale brać sędziowska wyciągnęła na to czerwone języki i wróciła na swoje podwórka. Też im się źle kojarzy interesująca nas barwa.

Jest jeszcze czerwony kur, który dostarcza zajęcia naszym dzielnym strażakom. Strażacy pędzą mu na spotkanie w pięknych czerwonych samochodach, o ile te zapalą. Jeśli ich samochody nie zapalą z braku środków na remonty, strażacy wybierają się pieszo, aby zabezpieczyć pogorzeliśko. Natomiast w przypadku szczęśliwego odpalenia strażacy dopadają czerwonego kura i robią mu koło ogona za pomocą czerwonych motopomp, o ile te ostatnie zaskoczą. Jeśli nie zaskoczą, strażacy wracają do wariantu z zabezpieczeniem pogorzeliśka. Jeżeli motopompy zaskoczą strażaków prawidłowym zaskoczeniem, strażacy polewają kura wodą, o ile woda jest w pobliżu. Gdy się okaże, że wody brak, zawsze jeszcze mogą zaopiekować się pogorzeliśkiem.

Jeśli ktoś przyodziewa czerwony pas, to tylko po to, by nosić za nim broń. Bocian ma czerwone nogi, bo gdy je w czasie lotu podwija w stronę kupra, doskonale zastępują światełka odbłaskowe. Czerwony Kapturek dlatego przystroił sobie główkę w nakrycie o tym, a nie innym kolorze, bo jego zamiary wobec wilka nie były bynajmniej czyste i sposobił się do pozyskania odeń futerka na zimę. Czerwonoskórzy tym się różnili od białych twarzy, że jadaliby często tatarą, popijali czerniną i nie obcierali po takowym posiłku gęby. Różowy Młyn był w istocie czerwony, trochę ino z wierzchu przyprószone mąką. Ale za to czerwona kapusta jest modra i dlatego można ją spożywać również w patriotycznie usposobionych rodzinach. Nie wiadomo, dlaczego w dawnej Rzeczypo-

spolitej szlachta używała czerwonych złotych. Jeśli chodzi o krasnoludki, to ich ulubione czerwone kubraczki ostrzegają nas przed stratowaniem niebożąt. A na koniec donoszę, iż barwa czerwona często staje się przyczyną nieporozumień. Bo jak mówi znany kawał, na pytanie „czy to prawda, że w Moskwie na Placu Czerwonym rozdają czerwone „Wołgi”?, odpowiedź jest następująca: „prawda, tyle że nie w Moskwie, a w Leningradzie; nie na Placu Czerwonym, lecz na Newskim Prospekcie; nie czerwone „Wołgi”, a czarne rowery; nie rozdają, tylko kradną”.

I to by było dzisiaj na tyle.

POD NIEBIESKĄ BANDERĄ

W naszych rozważaniach kolorystycznych dotknęliśmy dotąd problematyki zielonego i czerwonego. Nie wiadomo jednak, czy nie popełniliśmy w ten sposób wykroczenia przeciw dobremu obyczajom. Teoretycy malarstwa twierdzą przecież, że zieleń to barwa pochodna, niejako wtórna, zaś barwy główne są trzy: czerwona, niebieska i żółta. Musimy więc przyjąć, że zielone wkradło się nam do redakcji tylnymi drzwiami i - jako to ma we zwyczaj - wypilo atrament. Na szczęście atrament był czarny, a nie niebieski, bo inaczej doszłoby do kolejnego faux-pas. Co prawda, zwolennicy telewizji są przekonani o silnej pozycji zielonego, bo kolorowe monitory traktują ów kolor na równi z barwami głównymi. Posiadacze zabytkowych telewizorów kolorowych radzieckiej produkcji pamiętają dobrze, jak chętnie zielone wpychało się na ekran tak, iż wciąż trzeba było mu przykręcać pokrętkę. Wypisz, wymaluj - jak w polityce. W poprzedniej kadencji zielone strasznie się rozpleniło, aż musieliśmy wziąć pokrętkę w swoje ręce i mamy skutek, bo przygasło.

Ale nie o zielonym mamy przecież mówić. Jeśli wyobrazimy sobie czerwone i niebo gwiazdziste nad onym, będziemy mieli wszystkie główne barwy w kupie. Nie bez powodu użyliśmy wyrażenia „w kupie”. Jak rozbełtamy czerwone z żółtym i niebieskim wyjdzie nam jakieś takie prawie brązowe. Trzeba tylko dokapać zielonego.

Dosyć! Dziś mówimy o niebieskim. Niebieskie występuje w przyrodzie głównie ponad naszymi głowami, ale niektórzy mówią, że również morze jest tego koloru. Wyjaśnia nam to, dlaczego marynarze na myśl o żeglowaniu na tratwie pośród oceanu robią się niebiescy na twarzy. Trzeba dodać gwoli prawdy, iż również niektóre kwiaty lubią być niebieskie. Poza tymi przypadkami niebieskie w przyrodzie występuje niechętnie.

Są oczywiście niebieskie ptaki. Jednakowoż - rzecz dziwna - nie gnieźdzą się one na łonie natury, lecz raczej pośród wytworów cywilizacji. Jest tak bowiem, że nie lubią ci one zielonego, a to stąd, iż niechętnie orzą i wcale nie sieją. Są za to pierwsze do dziobania i do kłapania dziobem. Jak kogoś nie lubią, to lubią mu dać w dziób. Na pytanie, dlaczego laska je nebeska, odpowiadają, że dlatego, iż dzinsy farbują.

Pod niebieskimi sztandarami działają Unia Europejska i Organizacja Narodów Zjednoczonych. Wygląda na to, że niebieski to kolor zrzeczeń, stowarzyszeń i koalicji. Jedni patrzą na to zrzeszanie jak pierwsi chrześcijanie, a więc owiani duchem współpracy, braterstwa i miłości bliźniego. W związkach międzypaństwowych widzą nadzieję na

zastąpienie ducha konfrontacji duchem kooperacji. Inni natomiast patrzą na organizacje ponadnarodowe jak współcześni chrześcijanie polscy, a więc wietrząc międzynarodowy spisek przeciw ostatniemu z naprawdę wierzących narodów. Widzą oni jasno, że wokół czyha pogański liberalizm i rozpasanie obyczajowe i nic dziwnego, bo przecież od wieków wiadomo, iż obcy to nie bliźni, lecz heretycy, ateusze i złoczyńcy, którym Pismo Święte zaleca wydlubać oko, zanim oni wydlubią je nam i wybić zęby, by uprzedzić ich występki stomatologiczne przeciw naszym szczękom. Jeżeli niebieski to kolor koalicji, Sejm nasz jest czerwono-niebieski. W kącie nakapane jest zielenią. Pesymiści są zdania, że przy świetle dziennym, które - jak wiadomo - jest barwy żółtej, wszystko to się do kupy bełta. Krąży też opinia, że wśród niebieskich skrywają się różowi. Różowi to tacy, którym purpurowy zabełtał błękit w głowie.

Na koniec trzeba byłoby coś powiedzieć o hufcach niebieskich. Mamy w kosmosie górne i dolne hufce tego rodzaju. Te górne składają się z aniołów zorganizowanych w chóry, a najczęściej spotykanym ich przedstawicielem jest anioł stróż. Hufce dolne uporządkowane są w komendy i wydziały, a najbardziej rzucającym się w oczy ich egzemplarzem jest tak zwany krawężnik. Często obserwujemy w telewizji, jak niebiescy rycerze z kropidłem w ręku rzucają się na stada niebieskich ptaków. Tępią też czarno-księżników czarnej strefy tak zajadle, iż ci nie mówią o nich inaczej jak „to niebieskie paskudztwo”. Tak zwany szary obywatel napotyka ich głównie na drogach publicznych, gdzie go napełniają dla jego własnego dobra bojaźnią bożą. W ich obecności pokazuje się marność szarego obywatela jako eksperta od ruchu drogowego i równie marna kondycja jego stalowego rumaka. Staje się jasne, że szary obywatel zna Kodeks Drogowy równie dobrze jak i katechizm czy też tablicę Mendelejewa. A szary obywatel nie lubi prawdy o sobie, unika zatem niebieskich jak ognia. Jeszcze bardziej nie lubi drenażu portfela. A niesłusznie. Im więcej zbiera mandatów, tym bardziej wspiera gminę. Może z podniesionym czołem podejść do wójta czy prezydenta, by rzec: „jam jest ten, który karmi dzieci twoje”. Ale nie myślcie, że wśród hufców niebieskich sami są jeno sprawiedliwi. Są też upadli funkcjonariusze, którzy prędzej czy później strąceni zostaną do policji skarbowej, by tam wegetować wśród jęków i wycia nieuczciwych podatników. Aby skończyć temat, dodajmy, iż Gniezno czeka na nowego komendanta (co w hufcach górnych odpowiada randze archanioła). Zaśpiewajcie mu, bracia i siostry, „hosanna”.

ŻÓŁĆ

Malarze mniemają, iż żółć jest barwą główną dlatego, że wszystkie kolory tego świata powstają z odpowiedniego mieszania żółtego z czerwonym i niebieskim. Istnieje jednak inny pogląd, wedle którego żółć jest dlatego ważna, że bierze się z wątroby. Ponieważ każdy Polak ma wątrobę albo też miejsce po niej, przeto nieustannie żółć go zalewa i stąd zwykł spoglądać na świat przez żółte okulary. A przez takie okulary wyraźnie widać, że świat funkcjonuje na wariackich papierach. Nieuświadomionym donosimy życzeniowie, że wariackie papiery są żółte. Rozrzutna gospodarka żółcią jest czysto polską specjalnością, rzecz można: elementem naszej tożsamości narodowej, o czym świadczy fakt, iż słowo „żółć”, jako być może jedyne, pisane jest wyłącznie przy użyciu specyficznie polskich liter, które dodaliśmy do alfabetu łacińskiego.

Kontemplowanie świata przez szkła wzmiankowanego wyżej koloru jest formą samoobrony organizmu. Świat bowiem jest paskudny, a przez to niestrawny. Żeby się z niestrawnym uporać, trzeba zużyć wiele żółci; powie wam to każdy lekarz. Inaczej grożą wymioty i biegunka. Jednego naszego rodaka nie tak dawno wymiotło na biegun, a nawet na oba bieguny. Wszystko stąd, iż postępował był niehigienicznie i używał różowych okularów. „Uda się!” zwykł mówić lekkomyślnie. Rozsądny Polak twierdzi, że się nie uda. Dzięki temu nie musi wychładzać swoich zapędów w krajach polarnych. Nie ciągnie też go do czubków. Do żadnych czubków go nie ciągnie, nie tylko do czubków Matki Ziemi. Dzięki temu cechuje go umiar, że spogląda przez właściwe szkła, czyli zachowuje prawidłową optykę. Gdyby przez nieuwagę zastosował różowe okulary, mógłby trafiając do czubków mniemać, iż wspina się na szczyty.

Warto zauważyć, że złoto właściwie też jest żółte. Złote natomiast żółte są nie bardzo i co najwyżej częściowo, i to je odróżnia od groszy; jednakowoż jest tak, iż za złote da się pozyskać złoto i to również je odróżnia od groszy. Tu tkwi tajemnica żółtych okularów Ojca Polaka i Matki Polki. Z doświadczenia wiemy, że ani złoto, ani złote nie biorą się u Ojca Polaka i Matki Polki z natury. Z natury, a dokładniej z wątroby, bierze się u nich żółć. Cóż więc muszą oni uczynić, by sobie życie ozłocić? Muszą poszukać złota lub też uszkładać co nieco złotych, ale to byłoby przeciw naturze. Poszukiwanie złota bowiem wymaga brodzenia w strumieniu i splukiwania mułu wodą, a tego natura nie lubi i trapi poszukiwaczy reumatyzmem i opłatami koncesyjnymi. Z kolei pozyskiwanie złotych wymaga na ogół uprzedniego zainwestowania innych złotych, co kończy się często

spłukaniem, zwłaszcza, jeśli ktoś ma naturę muła i uporczywie powtarza zabieg. Ale przecież ustaliliśmy, że złoto podpada pod barwę zwaną „żółcią”. Czyż logika nie podpowiada nam, iż ozłocić sobie życie to tyle, co je sobie zażółcić? Domyślają się tego Ojciec Polak i Matka Polka, zatem tryskają żółcią i to jest zgodne z naturą. Dodajmy, iż metodą naturalną uzyskuje się dodatkowo efekt, o który bardzo trudno komuś, kto usiłuje sobie życie zażółcić w sposób sztuczny. Właściwie historia odnotowuje jeden tylko przypadek sukcesu w zakresie sztucznego żółcenia, a jest to casus niejakiego Midasa, z zawodu króla. Wzmiankowany Midas miał mianowicie ten przymiot, iż wszystko, za co chwycił, zamieniało się w złoto. Nikomu poza nim nic takiego się nie udało. A tymczasem przeciętny zupełnie Ojciec Polak i pierwsza z brzegu Matka Polka potrafi, uzbroiwszy się w żółte okulary, zażółcić wszystko, na co spojrzy.

Jeśli chodzi o żółte papiery, to wiemy ze środków masowego przekazu, że były funkcjonariusz prezydenta Wałęsy zalecał palić żółte kalendarze. Inni znów funkcjonariusze wbrew zaleceniom palili akta, które wedle wielu nie całkiem jeszcze były żółtkłe. Gdyby ich przyłapano na gorącym uczynku, pewnikiem wyciągnęliby z za pazuchy żółte papiery i wykręcili się sianem. Bo żółte papiery to rodzaj glejtu, który zwalnia od odpowiedzialności. Dlatego też wielu jest takich, którzy odczuwają palącą potrzebę ich posiadania.

Wypada wspomnieć jeszcze o żółtym świetle. Użytkownicy dróg publicznych wiedzą, że gdy się ono pali, wszystko jest dozwolone. Optymiści dodają gazu, a pesymiści depcą po hamulcach. Żółte nie mówi nam ani że można, ani że nie można, ono nam mówi: uważaj. Toteż każdy czyni, co uważa za stosowne. Ojczyzna nasza tym się wyróżnia, iż każdy jej obywatel w pogodny dzień i takąż noc dostrzega nad sobą zapalone żółte światło, zaś porą pochmurną wyczuwa je niezawodnym instynktem. Słusznie zatem mawiają niektórzy ekonomiści, że Polska jest krajem nieograniczonych możliwości.

Zauważmy też, że żółte jest symbolem początku (żółtko) i końca (mówi się o pożółkłej starości). Gdy przyjrzymy się naszej drodze życiowej, widzimy w tym głęboki sens, bo uderza nas analogia do podróży w najbardziej dosłownym, prząsnym znaczeniu. Oto zapala się żółte światło, a zaraz potem zielone i wkraczamy na ziemski padół, gdzie będziemy brnąć przez dole i niedole. Kiedy starość wita nas na żółto, wiemy, iż czerwone światło tuż-tuż. Łatwo zgadnąć, jakie jest pochodzenie żółtego światła na początku: to nasza mamusia powiedziała do naszego tatusia „uważaj, tatusiu”, po czym tatuś uczynił to, co uważał za stosowne. Tajemnicę pożółkłej starości już właściwie wyjaśniliśmy: efekt to nadprodukcji żółci i wystawiania się na żółte światło.

ANATOMIA WYBRANYCH PRZEJAWÓW MONOTONII (ze szczególnym uwzględnieniem Inicjatywy Trojga)

Porażająco monotonne musi być życie samotnego żeglarza okrążającego kulę ziemską; to, co mu dzień w dzień szumi, nieodmiennie jest wszechświatowym oceanem; kiedy rozewrze sklejone czujnym snem powieki, jedyne, co widzi, to bałwany przetaczające się z jednego krańca widnokregu na drugi. Podobnie cierpi taternik wchodzący na skalne rumowisko po to, by zaraz z niego zleźć i przemieścić się w poszukiwaniu następnego szczytu do zdobycia; jeśli w trakcie tego przemieszczania nie skradną mu bagażu, nie uchroni się on od rutyny. Dla badaczy życia społecznego nie jest tajemnicą, że bierze się to stąd, iż wyczyn podlega ścisłym regułom, by nie rzec: prawom.

My, statystyczni Polacy, sadowiąc się na kanapie i biorąc w spracowane dłonie prasę (tak szlachetniej), bądź włączając telewizor (tak prościej) wcale nie odczuwamy monotonii; wręcz przeciwnie, jeśli dotrze do nas przekaz, doznajemy dość często umiarkowanego zaskoczenia czy to dopłynięciem kolejnego samotnego żeglarza do celu, czy też uporem taternika, który wdrapał się na kolejną, niedostępną i nikomu niepotrzebną górę. Rutynowe poczynania sportowców, podróżników, polityków i artystów wynikające nieuchronnie z istoty ich profesji, szare przeto z osobna, utkane przez środek masowego przekazu w wielowątkowy kobierzec najnowszych wiadomości nabierają niekiedy żywszych kolorów, czyli – inaczej mówiąc – zdolności czasowego przyciągnięcia uwagi pewnej liczby odbiorców, a to w cywilizacji mass mediów oznacza sukces.

Przykładem najświeższym jest Adam Małysz. Sukces sportowca – rodaka ma prawo cieszyć, odkąd bowiem Popiela zjadły myszy, zaś ocalała reszta dokonała aktu oddania się bądź to Piastowi, bądź Rzepisze, wszyscy jesteśmy bliższymi albo dalszymi krewniakami, słowem: rodziną. Splendor, który opromienia naszą rodzinę, opromienia i nas osobiście. Poczucie więzi powoduje na przykład, iż ogarnia nas oburzenie na myśl, że nieczuły na więzi fiskus wyciąga swe lepkie łapska w kierunku przychodów swojaka – sportowca. Zapominamy na moment o monotonii kariery sportowej, która po paśmie rekordów zmierza ku sportowej emeryturze. Nie wybiegamy myślą w przód, bo gdybyśmy wybiegli, dojrzelibyśmy moment, w którym brutalnie uderza nas, iż podupadający krewniak nie podzielił się z nami ponad miarę rozdętymi gratyfikacjami, choć czerpał z wypracowanego przez nas funduszu spożycia zbiorowego i wysysał siłę z narodowego

ducha, do którego wnosimy stale niebagatelny, psychiczny wkład większy od udziałów większości niezdolnych do uniesień i przeważnie cynicznych współobywateli.

Jednakże nie sportowa, lecz polityczna monotonia jest naszym głównym przedmiotem zainteresowania w dniu dzisiejszym. Monotonie karier polityków i formacji politycznych obrazują krzywe opadające, wznoszące się bądź też zbliżone do sinusoid. Wiją się owe krzywe w kilku układach współrzędnych, których jedną oś wyznacza upływ czasu, zaś drugą – takie wymiary jak popularność - niepopularność, udział we władzy – opozycyjność, czy integracja – dezintegracja. Zwraca uwagę zwłaszcza ten ostatni wymiar, gdyż zdaje się on różnicować monotonię polityczną na odmianę lewą i prawą. Krzywa lewa wedle opinii komentatorów przejawia tendencję do wznoszenia się ku biegunowi integracji. Niektórzy skłonni są modelować ów fenomen za pomocą przystępnego obrazu bagienka wsysającego te elementy sceny politycznej, które nieostrożnie łączą tzw. „wrażliwość społeczną” z niechęcią do kropidła. Badacze obiektywni, tacy jak my, nie obarczają słowa „bagienko” konotacjami o charakterze emocjonalnym i wartościującym; natomiast obserwatorzy zaangażowani chętnie kojarzą ów termin bądź to z cuchnącą topielą pełną malarycznych miazmatów, bądź też z przytulną wanienką wypełnioną dobroczynną borowiną.

Krzywa integracyjna prawa ma kształt sinusoidopodobny, przez co znawcom problematyki bagiennej kojarzy się z wulkanem błotnym na przemian wsysającym i wydalającym elementy naniesione przez bieżącą wodę święconą. Ta quasi-sinusoida ma swe lokalne maksima i minima chętnie utykane przez środki masowego przekazu w kobierzec bieżących wiadomości, dzięki czemu osoby uwikłane w owe przegięcia zyskują okresową popularność, a zatem – sukces.

Ostatnio magiczne słowo „sukces” towarzyszy panu Andrzejowi Olechowskiemu, który wraz z panami Płażyńskim i Tuskiem zainicjował aktualne przegięcie monotonii prawej. Są głosy twierdzące, że rzecz idzie o zastęp trzech milionów wyborców, którzy skłaniają się ponoć zdroworozsądkowo ku umiarkowaniu, a więc stwarzają szansę na wyłonienie silnego centrum mocno osadzonego na twardym gruncie pomiędzy trzęsawiskami AWS i SLD. Inni wtajemniczeni demaskują umiarkowanie jako liberalizm, a centrum Olechowskiego, Płażyńskiego i Tuska jako liberalny biegun przeciwny i lewicy i prawicy, które niesłusznie głoszą, że to one są biegunami, gdy tymczasem pospołu zarażone są „społeczną wrażliwością”. Wierząc tej denuncjacji zauważamy natychmiast, iż do niedawna biegun liberalny widywany był w pobliżu niejakiego Balcerowicza Leszka, czyli na obszarze obsadzonej przez Unię Wolności. Stąd przekonanie

ludu politycznego, iż inicjatywa Trojga jest przede wszystkim wyzwaniem dla UW. Jest też ciosem w AWS ze względu na polarne ciągoty SKL, które skłonne jest zdryfować w kierunku Olechowskiego i spółki. Natomiast SLD śpi spokojnie, bo żaden Kaczmarek, jak dotąd, nie kwapi się na suchy ład.

Zalóżmy, że cieszy nas istnienie liberalnego centrum (czy bieguna, jak kto woli). Jeśli mrzonką jest szansa zdobycia dlań kilku milionów wyborców, to obecne przegięcie przyniesie tylko zamieszanie szkodliwe zwłaszcza dla UW i SKL. Jeśli mrzonka to nie jest, powstaje pytanie, czy większą szansę na skupienie owych milionów ma UW, czy inicjatywa Trojga. Oczywiście, z czysto teoretycznego punktu widzenia chciałoby się tej alternatywie doczepić człon trzeci oznaczający współdziałanie obu organizmów politycznych, o których tu mowa; jednakże rozmowy na ten temat były prowadzone, a współdziałania na razie nie ma. Merkel, Piskorski i Bielecki powiedzieliby pewnie, że to stąd, że stronnicy Geremka zarazili się „społeczną wrażliwością”. Zauważmy mimochodem, iż wynikająca z tej zarazy zmiana akcentów nie jest argumentem za przyznaniem UW roli ośrodka inicjującego Narodówkę Liberalną (to nowotwór językowy uczyniony na podobieństwo licznych „Międzynarodówek”). Przyjmijmy więc, że ośrodkiem takim będzie Olechowski i spółka. Wygląda na to, że albo Unia Wolności wykuruje się z infekcji, albo pozbędzie liberalizmu. Ci znawcy monotonii przepływów politycznych, którzy widzą czarno, martwią się już, czy odchudzona Unia nie nabierze łatwości dryfowania. Ci, co dostrzegali u niej różowe zabarwienie, prorokują już pewnie, iż zniesie ją śladem Unii Pracy. Chyba, że na czas uchwyci się kropidła.

(pisane w styczniu albo lutym 2001)

O AMATORSKIM ZWALCZANIU PRZESTĘPCZOŚCI

Wiele się ostatnio mówi o problemie obrony koniecznej, a zwłaszcza o przekraczaniu granic tejże. Pan Zdzicho nie bardzo rozumie, jak można przekroczyć granicę obrony koniecznej. Założmy – powiada - że wpadł do mojego mieszkania osobnik w kominiarce z łomem w rękę, ja zaś szczęśliwym trafem mam akurat w rękę rewolwer. Co mam zrobić, by się nie narazić na zarzut nadużycia mojego prawa do obrony? Postraszyć gościa i zmusić, by poczekał na kanapie, póki nie przyjedzie radiowóz, który wezwę telefonicznie? Tak mógłby postąpić Rambo, albo funkcjonariusz Borewicz, którzy potrafią zachować w takiej sytuacji profesjonalny spokój. Mi jednak ręce się trzęsą i paraliżuje obawa, że telefonując będę musiał zapewne odłożyć broń, z czego sprytny napastnik gotów skorzystać i przystąpić do kontrataku. A skąd pewność, że agresor jest sam? Ja skupię uwagę na nim, a tymczasem od tyłu zajdzie mnie jego konfrater i rozwalą mi łeb! Jeśli nawet nieproszony gość na widok broni zademonstruje panikę i gotowość poddania się, to jaką mam pewność, że to nie gra mająca osłabić moją czujność i umożliwić zaskoczenie? Jeśli zacznie uciekać, to skąd pewność, że nie jest na tyle zdeterminowany, by wydostawszy się drzwiami, nie powróci za chwilę oknem? Przemądrzały prokurator będzie mi pewnie wmawiał, że jeśli nawet zdecyduję się strzelić, to tylko w nogi, albo zadek, aby nie narazić włamywacza na zejście. Cóż to za głupota, nie jestem przecież strzelcem wyborowym, jeśli mam trafić, muszę celować w korpus. Mądrala pewnie powie, że w takim razie powinienem jednak poprzestać na zastraszeniu. No dobrze, gdybym był sam, mógłbym zaryzykować w ten sposób, ale co czynić, jeśli w domu znajduje się małżonka, której gabaryty nie pozwalają schować się pod łóżkiem lub dziecko, które nie zorientuje się, że należy uciekać? Czy mam prawo ryzykować, że moje wahanie i brak zdecydowania będą miały ten skutek, że włamywacz, czy włamywacze wyprasują domownika żelazkiem, aby zeń wyciągnąć, gdzie przechowuję dobra materialne, potem zaś pozbędą się świadka? Nie, nie mam takiego prawa; co więcej mam obowiązek chronić osoby pozostające pod moją opieką. Moim obowiązkiem jest więc wyeliminować za wszelką cenę napastnika. Nie jestem anatomem, więc nie jestem w stanie ocenić, czy mój strzał lub cios wystarczają, by go obezwładnić, muszą więc strzelić lub uderzyć tyle razy, ile zdołam, bo wróg ranny, lecz zdolny do poruszania się, gotów się zemścić w amoku. On jest zapewne zawodowcem, ja zaś tylko amatorem, nie mogę mu więc dać żadnej szansy; słowem, nie mogę go ostrzegać bądź z nim negocjo-

wać. Jeśli po udanej egzekucji napastnika, policjant lub prokurator aresztuje mnie do wyjaśnienia, powinien być oskarżony o współdziałanie z przestępcą, bo zabierając mnie pozbawia mój dom ochrony przed ewentualnymi krewnymi i znajomymi nieboszczyka. Jeśli napastnik przeżyje, powinienem dostać nagrodę za wstrzeźliwość, lecz domownicy winni mieć prawo zażądać zbadania, czy nie dopuściłem się niedbalstwa. Tak to powinno być – mówi pan Zdzicho – jedyne wyjście, to uznać, że mój dom jest moją twierdzą i każdy, kto doń wtargnie, sam podpisuje na siebie wyrok.

Nie sposób nie wziąć pod uwagę tego, że gdyby taki zwyczaj się ustalił, można byłoby próbować wykorzystać go w celu odstrzeliwania niewygodnych sąsiadów, niechcianych absztyfikantów zakradających się do córek i marnotrawnych synów usiłujących omijać rodzicielskie wyobrażenia na temat dozwolonych terminów wyjść i przyjść. Można by też podejrzewać, że ubocznym efektem byłoby to, że wyginęliby poczciwi złodziejaskowie unikający tzw. „mokrej roboty”, bo przestępcy czuliby się zmuszeni do maksymalnie brutalnego działania i dla swego bezpieczeństwa w każdym przypadku strzelaliby pierwsi. Wszystko to prawda, lecz argumentacja pana Zdzicha nadal pozostaje – dla mnie przynajmniej – niezwykle przekonująca.

Tymczasem te przypadki obrony koniecznej, czy też ogólniej - obrony mienia i prywatności, o których dowiadujemy się ze środków masowego przekazu, zdają się świadczyć o tym, że pierwszym odruchem naszych policjantów i prokuratorów jest puszczanie takich obrońców i zostawianie sądom odpowiedzialności za ich uwolnienie. Brak u tych stróżów prawa chęci ograniczania się do spisania protokołu i usunięcia zwłok, co podobno jest normą u naszych sojuszników zza oceanu. Jeśli nawet pan Zdzicho za daleko posuwa się w swych marzeniach o zamienieniu naszych domostw w twierdze, to jednak należałoby się zastanowić, czy amerykańska norma nie powinna być regułą. Trudno ją jednak respektować, jeśli się zakłada, że przemoc jest monopolem państwa. Przy takim założeniu fakt, że przestępcy nie respektują tego monopolu, uzasadnia ich ściganie i to dobrze. Ale to założenie uzasadnia też nieufność wobec tych, którzy twierdzą, że zastosowali przemoc w obronie przed przestępcą, a to chyba źle (przynajmniej niekiedy). W państwie totalitarnym takie wyręczanie organów może wywoływać obawę, bo a nuż prawo do oporu przed przemocą kryminalistów skojarzy się niesfornym obywatelom z prawem do oporu przed wszelką przemocą, a zresztą niezależnie od tego lepiej jest dla takiego państwa, jeśli jest ono w oczach ludu jedyną zaporą przed przestępstwem. W państwie demokratycznym należałoby wszakże widzieć tę kwestię inaczej.

Nieufność wobec osób atakujących przestępców może też brać się z przywiązania do tradycji. Zgodnie bowiem ze społecznymi przyzwyczajeniami nie jest niczym dziwnym – choć pożałowania godnym – że kryminalista zarzyna tzw. „spokojnego obywatela”, jeśli jednak spokojny obywatel zarzyna przestępcę, porządek świata wali się w gruzy. Spokojny obywatel z definicji przecież powinien powstrzymać się przed zarzynaniem. Jeśli się nie powstrzymał, naturalne są domniemania, iż jego dotychczasowa opinia jako obywatela spokojnego, nie była dostatecznie zweryfikowana. Funkcjonariusz badający jego przypadek myśli sobie: „Oj, Kowalski, Kowalski, nie taki z was święty, jakiego udawaliście. Czy przestępca dałby się zaskoczyć zwykłemu zjadaczowi chleba? Czy nie było tak przypadkiem, że to wy napadliście?” i na wszelki wypadek wtrąca Kowalskiego do tury; niech teraz udowodni, że nie jest złoczyńcą. Sąsiad mający dość potykania się o produkty przemiany materii psa Kowalskiego utwierdza śledczego w jego wątpliwościach zeznając, iż widywał nieboszczyka pod budką z piwem i słyszał, jak nachalnie zaczepia przechodniów domagając się datków, co sugeruje możliwość, że przyczyną tragedii jest w istocie powszechnie w okolicy znana popędliwość Kowalskiego. Bo też dlaczego Kowalski nie nadstawił policzka?

O MORALNEJ WYŻSZOŚCI RZĄDZONYCH NAD RZĄDZĄCYMI

Wpadł do mnie wczoraj z butelką koniaku pan Grzegorz, sąsiad mój, a przy tym pracownik naukowo-dydaktyczny jednej z naszych ojczystych akademii, z których słusznie jesteśmy dumni.

- Napijemy się, panie Adamie – zadysponował. Cierpiał z jakiegoś powodu, bo minę miał nachmurzoną, a ton - rozdrażniony. Widać było, że chce oczyścić duszę i zrzucić z barków ciężar.

- Cóż to za okazja? – spytałem życzliwie, by mu ułatwić oczyszczenie i zrzucenie.

Okazało się, że drażnią go realia polityczne, o których bez przerwy donoszą mu środki masowego przekazu, w szczególności zaś upartyjnienie, nepotyzm, karierowiczostwo i korupcja. Tego typu odczucia podzielane są przez liczne rzesze rodaków, stąd też łatwo mi było o nawiązanie z panem Grzegorzem duchowego porozumienia.

- I z tego powodu wykosztował się pan na ten koniak? – spytałem współczująco.

- Ten koniak? Nie, na szczęście – odparł pan Grzegorz z roztargnieniem – studenci go przynieśli, bo im przełożyłem kolokwium. To taki akademicki zwyczaj.

Komentowaliśmy upadek klasy politycznej aż do wyczerpania butelki. W miarę upływu czasu gorycz łagodniała, ustępując miejsca słodkiemu poczuciu wyższości moralnej. Było też jasne, że my, rządzeni, pozbawieni władzy, nie wyprostujemy skrzywionej rzeczywistości. Nadeszła pora na zmianę tematu. Ponieważ należało się zrewanżować, wyciągnąłem swoją flaszkę.

- To taki sąsiedzki prezent – powiedziałem, aby uprzedzić pytanie – abym wychłostał biczem satyry... Zdziwiłby się pan, jak nisko upadły zasady współżycia społecznego.

Nalewając do kieliszków zaproponowałem następny punkt dyskusji:

- Trzeba wreszcie ustalić, kogo wybierzemy na przedstawiciela kolektywu mieszkańców w sprawie Kwiatkowskiej.

Tu muszę wyjaśnić, że niejaka Kwiatkowska od lat dokarmia bezdomne koty, które szkaradnym miauczeniem rozstrajają nerwy współlokatorów. Nieprzystosowanie społeczne Kwiatkowskiej nawet najbardziej tolerancyjnych skłania do przekonania, że jedynym wyjściem z tej przykłej sytuacji jest jej eksmisja.

- Najlepiej by było, gdyby naszym rzecznikiem był ktoś z sąsiedztwa, lecz spoza naszej klatki - zauważył inteligentnie pan Grzegorz. - A to po to, by się stało jasne, że to nie ja-

kieś sąsiedzkie pyskówki, lecz rzeczywisty problem całego bloku.

- No to pan Wacek – stwierdziłem. – Nikt inny.

Pan Wacek był wartościową i bliską nam jednostką. Z sześciu rodzin zamieszkałych w obrębie naszej małej klatce schodowej piątka pozostawała z nim w dobrych stosunkach, zaś wyjątkiem było, jak łatwo zgadnąć, jednoosobowe stadło aspołecznej Kwiatkowskiej. Ja, pan Grzegorz i pan Mietek grywaliśmy z panem Wackiem w brydża, zaś pani Julka spod piątki wiązała z nim pewne nadzieje. My wszyscy, łącznie z panem Wackiem i szóstym lokatorem, wiązaliśmy pewne nadzieje z faktem, że wujek pani Julki brylował w zarządzie spółdzielni. Szósty lokator, pan Zdzicho, rozumiał trudną sytuację pana Wacka, który zajmował nieopodal lokal zapuszczony, niepełnowartościowy i wręcz proszący się o zamianę; podzielał ogólne przekonanie, że miejsce pana Wacka jest u nas, w naszej klatce.

Kiedy już wypiliśmy za nominację pana Wacka, przypomniałem sobie nagle sprawę bratanka Jasia.

- A wie pan – zagadnąłem – mój bratanek zdaje w tym roku maturę i chyba wystartuje na pański wydział.

Pan Grzegorz zmilczał dyplomatycznie. Rozczarowałem się co do niego. Obaj brzydzimy się protekcją, ale rodzina, to rodzina i co dobry znajomy, to dobry znajomy. Nie wypada dawać dobremu znajomemu do zrozumienia, że należy ukonkretnić propozycję.

ZABURZENIA ATMOSFERYCZNE

(sierpień 2001)

W wieku atomu i inżynierii genetycznej chcemy, aby nam rozjaśniano, tłumaczono i uprzystępniano. Od tego mamy ekspertów, besserwisserów i mass media.

Ostatnio wiele uwagi przyciągają zaburzenia atmosferyczne, które nam chętnie uprzystępnia obiektywna rzeczywistość, jednakowoż czyni to niezbyt profesjonalnie, bo bez należytego wytłumaczenia i rozjaśnienia. Od tego jednak my jesteśmy, by takim niedopatrzaniem zaradzić. Otóż, proszę państwa, zaburzenia atmosferyczne polegają na braku umiarkowania w grzaniu, wianiu i laniu wody. Z mrozem i upałem, bezwietrznym zaduchem i tornadami, suszą i powodzią jest prosta: winne są gazy cieplarniane, którym patronują górnicy czepiający się kopalni, prezydent Bush czepiający się Kioto oraz wszyscy ci, którzy nie czepiają się tych, co puszczają bąki (niezorientowanym chętnie wyjaśniamy, że materię bączną tworzy metan współodpowiedzialny za efekt cieplarniany).

Zaburzenia atmosfery politycznej polegają w istocie na tym samym, tyle że ich przyczyn ortodoksi szukają nie w emisji gazów cieplarnianych, lecz w nadchodzących wyborach. Ale że nie sami konformiści zaludniają świat boży, bez trudu znaleźlibyśmy zwolenników teorii cieplarnianej, którzy zgodziliby się z poglądem, że zaburzenia polityczne, jakich jesteśmy świadkami, biorą się z zaczepiania górników, czepiania się poły prezydenta Busha oraz z parlamentarnego zbijania bąków po uprzednim ich poczęciu.

Ale jakież to zaburzenia mamy na myśli? Każdy odbiornik telewizyjny powie nam, że atmosferę polityczną kształtują dzisiaj wichry dziejowe, które wywiewają z koalicji partie, z rządu ministrów, ze skarbu pieniądze, a z pieleszy czarne charaktery. Znani nam już ortodoksi na pytanie, dlaczego dują wichry, odpowiadają z niezachwianą pewnością, że to bierze się stąd, iż zbliżają się wybory i atmosfera dla klasy politycznej się zagęszcza.

Psychologia od dawna interesuje się wpływem zjawisk atmosferycznych na psychikę ludzką. Z jej badań wynika, że im atmosfera gęstsza, tym radości mniej. Jeśli by zatem zagęszczanie miało związek z wyborami, to wynikałby stąd paradoksalny wniosek, że nadchodzące wybory nie napawają całej klasy politycznej radością. Jest to niemożliwe w kraju demokratycznym, bo w takowym politykę uprawiają demokraci, dla

których wybory są głosem ludu, a lud demokracji miłują nade wszystko, a jeśli lud, to i głos jego miłują. Mało jest przecież takich anomalii seksualnych jak pan Zdzicho, który kocha małżonkę, gdy owa trafia doń przez żołądek, lecz gdy ta sama niewiasta usiłuje trafić doń przez uszy, to jego trafia.

Jest zatem zupełnie jasne, że wybory nie mogą smucić polityków, a zatem wzmiankowane wyżej wichry dziejowe nie mogą być wynikiem zagęszczenia atmosfery, lecz muszą być efektem całkiem innych przypadłości. Znajomy fizyk jest zdania, że wichry polityczne wzmagają się przed wyborami po prostu dlatego, że z politycznego punktu odniesienia czas przedwyborczy płynie szybciej i to, co kiedy indziej było łagodnym zefirkiem, w okresie kampanii nagle przyspiesza i staje się huraganem. Nie wydaje nam się to trafne, bo wyczytaliśmy w podręczniku, że czas płynie wolniej tam, gdzie masa, a zatem gdyby dla polityków czas płynął szybciej, oznaczałoby to, że oderwali się od mas. Jest to niemożliwe w kraju demokratycznym, bo w takowym politykę uprawiają demokraci, którzy nade wszystko miłują masy, a przecież jeśli się kogo miłuje, to się do niego garnie. Mało jest przecież takich anomalii seksualnych jak pan Zdzicho, który miłuje małżonkę, lecz garnie się do knajpy, bo tam mu czas płynie szybciej.

Logika przekonuje nas zatem, że obecne zaburzenia polityczne nic nie mają wspólnego z wyborami. Kolejne partie rozstają się z koalicją, a ministrowie z rządem, bo wiedzą, że tak czy owak parlament będzie uchwalał, a rząd – rządził. Chodzi o to, by Goliata lewicy obskoczyło zewsząd mrowie Dawidków z procami w ręku. I wcale nie są winne wybory, lecz życiowy trend. Biologowie mówią, że mamy tu do czynienia z klasyczną radiacją adaptacyjną: rodzą się nowe gatunki polityczne i zajmują kolejne nisze. Niedługo każde środowisko będzie miało swoją partię (prawicową bądź centrową), której działacze szczególnie sobie w nim upodobali. Rozrośnie się społeczeństwo obywatelskie i ogarnie jednostki dotąd apolityczne. Minister Biernacki przyobiecał zasilić kadrowo nawet szczególnie niechętną dotąd polityce zbiorowość bywalców zakładów karnych. Podobno wspomagają go w tym dziele zresocjalizowani gangsterzy, wskazując co prężniejsze osobistości z pierwszych stron gazet, zdolne tchnąć politycznego ducha w społeczność rodaków siedzących. Seria aresztowań przestępców, która poruszyła opinię publiczną, da się wytłumaczyć zapotrzebowaniem na tego rodzaju konsultantów.

JATKA POLITYCZNA

Przed wyborami rozkwita rzeźnictwo polityczne, bowiem stara, czcigodna, demokratyczna tradycja każe, by kandydaci raczyli elektorat kielbasą wyborczą. Doświadczenie minionych stuleci poucza, że nakarmiony kielbasą lud z ochotą bieży do urn i z czystej wdzięczności wieńczy najbardziej udatnych kielbaśników koroną, której listki z mandatów są uczynione.

Wielka to sztuka owo rzeźnictwo polityczne, a nawet cała gałąź wiedzy i umiejętności praktycznej. Trzeba przecież coś zarząć, by otrzymać kielbasę, a jak się coś zarżnie, to tego nie ma, a jak czego nie ma, to tego szkoda, o ile nie było paskudne.

Aby ominąć ową kwadraturę koła, wymyślono tzw. sposób na dżdżownicę. Dżdżownica to takie bydło, któremu jak się obetnie, to mu odrośnie i śladu nie ma. Jednakże dżdżownic nie konsumują nawet Francuzi, więc z dżdżownicy kielbasy nie będzie. Ale jest przecież budżet, który też corocznie odrasta na nowo, choćby się go nawet spożyło bez reszty. Sprytnie jest zatem i modnie oberżnąć budżetowi ochłap i z niego ukreć kielbasę wyborczą. Jednak w naszym pięknym kraju nawet sprawdzone i sprytnie sposoby czasami zawodzą. Okazało się, że polski budżet da się zarżnąć i co gorsza, budżetu wszystkim szkoda, nawet tym, co przedtem o nim mówili, że paskudny.

Tak, proszę państwa, sposób na dżdżownicę jest świetny, lecz zawodny. Lepszy jest sposób na kanibala. Trzeba pomóc rzeźnikowi politycznemu wycinać ochłap z budżetu i cierpliwie czekać, aż ktoś odkryje, że jest dziura i że jaka wielka. Każdy wie z samoobserwacji, że jak się dziurę odkryje, to się zrobi smród i w tym zaduchu nawet najświeższa kielbasa zaśmierdnie. Oj, nie zanęci pechowcy rzeźnik elektoratu zaśmierdłą kielbasą i obszczeka go elektorat, że zawiódł i że jest paskudny. I nie żal będzie elektoratowi, kiedy pechowca zaszlachtuje sprytniejszy odeń rzeźnik polityczny i przyrządziwszy go zgrabnie, poda nie we flaku, lecz dowcipnie nabitego w butelkę.

Adam Boruta, Wasz specjalista gastronomiczny.

ZIEMIA OSTRZESZOWSKA W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ JĘZYKOZNAWCZYCH

Szanowni Państwo! Drodzy Czytelnicy! Musimy zawczasu uprzedzić, że rozprawa, którą właśnie zaczęliście studiować, nie ma charakteru popularnego. Jeśli więc nużą kogo suche, naukowe wywody, bo skłania się raczej ku rozrywce, niech porzuci ten tekst bez żalu i pochwyci raczej pilota albo też stenogramy z przedwyborczych zapowiedzi naszych zacnych rajców, posłów bądź senatorów.

Szanowni Państwo! Już Arystoteles podjął głębokie studia nad językiem, a skłonił go do tego przypadek. Przypadek doprowadził do niejednego już odkrycia, jak o tym dobrze wiedzą znawcy historii nauki. Wszyscy słyszeli o jabłku, które ugodziło Izaaka Newtona i spowodowało, iż ten zawzięty Anglik dopóty szukał winnego, aż nie zdemaskował grawitacji. Mało kto jednak wie, że do językoznawstwa nakłonił Arystotelesa nieświeży ozorek w galarecie zaserwowany przez niechlujnego macedońskiego oberżystę. Filozof stworzył wtedy na poczekaniu onomastykę czyli nazewnictwo, które podzielił sprawiedliwie na antroponimię odnoszącą się oberżysty i toponimię wycelowaną w Macedonię. Nie będziemy tu odtwarzać skomplikowanych dziejów wyrazu „toponimia”, które obecnie oznacza bądź to zbiór nazw własnych obiektów turystyczno-krajoznawczych jak góry, miasta, rzeki i co tam jeszcze, bądź naukę o tego rodzaju nazwach. Dość, że jest taka gałąź nauki, na której siedzą uczeni głowiący się nad znaczeniem nazw miejscowych i dywagujący o ich pochodzeniu. Nie omijają oni żadnego zakątka naszej planety, nie ominęli też Ziemi Ostrzeszowskiej.

Szanowni Państwo! Przeciętym zjadaczom podręczników wydaje się, że nauka odkrywa niewzruszone pewniki i postęp wiedzy polega po prostu na gromadzeniu coraz to większej ilości informacji. Nic bardziej błędnego! W nauce trwa walka pomiędzy konkurencyjnymi hipotezami, które się zwalczają. Dla przykładu są tacy językoznawcy, którzy mniemają, iż Wzgórza Trzebnickie wzięły swe miano od naturalnej metody kontroli urodzeń, w której rzekomo lubowali się starożytni mieszkańcy Ziemi Ostrzeszowskiej. Pogląd ten jest wyśmiewany przez innych uczonych, którzy polecają tym pierwszym, by przetarli okulary i zerknęli na mapę, gdzie zauważą gminę Doruchów przylegającą do rzeki Sprośnej penetrującej Plugawice. „Zastanówcie się” mówią „a pojmiecie, w czym lubowali się autochtoni”. „Niech wam będzie” odpowiadają adwersarze

„ale to w gruncie rzeczy woda na nasz młyn, gdyż nasza metoda to po prostu antidotum na wasze upodobania. Nie widzimy żadnej sprzeczności”. Ale w nauce nikt nie poddaje się łatwo i pada na to odpowiedź, że błyskotliwe wyjaśnienie szanownych kolegów nie bardzo trzyma się kupy, a to z dwóch powodów. Primo, bo jak ktoś coś lubi, to nie rozgląda się za antidotum przeciw temu. Secundo, bo starożytni Ostrzeszowianie znali inną metodę kontroli urodzeń, o czym świadczy urocze miasteczko Grabów ocierające się o Sprośną. „Ha, ha” pada na to riposta „może i znali, lecz nie akceptowali, bo do dziś patrząc na Grabów kraśnieją Kraszewice”. Ale przecież Kraszewice nie muszą kraśnieć z powodu Grabowa, może ta ich przypadłość bierze się z pewności, że czają się na nie ci z Czajkowa. Kontrowersje trwają i dyskusji naukowej końca nie widać.

Szanowni Państwo! Niewątpliwie centralnym zagadnieniem językoznawczym dotyczącym obszaru naszych zainteresowań jest pochodzenie nazwy „Ostrzeszów”. Cóż, samorzutnie ciśnie się na usta hipoteza, że Ostrzeszów to była sadyba jakiegoś Ostrzesza. Jednak nie zawsze najprostsza hipoteza ostaje się w nauce. Jeśli bowiem spytać, skąd wziął imię Ostrzesz, to z podobną oczywistością narzuca się odpowiedź, że stąd, iż był mieszkańcem Ostrzeszowa. Tego typu rozumowania prowadzą do dylematu kury i jajka czyli do tzw. błędnego koła i byłyby może na miejscu w rozważaniach na temat Ziemi Kórnickiej czy Ziemi Kolskiej, lecz są zupełnie nie do przyjęcia w dyskusjach na temat południowej Wielkopolski. Łatwo zresztą przeprowadzić stosowny dowód nie wprost. Załóżmy, że rzeczywiście Ostrzeszów wziął miano od Ostrzesza; w takim razie jednak nazwa miasta brzmieć powinna ÓwOstrzesz, nie zaś OstrzeszÓw chyba, że została uformowana przez element narodowościowo niepełnowartościowy, co niedawno zostało wykluczone uchwałą Rady Miasta.

Panie i Panowie i Ty, Droga Młodzieży! Bardziej już prawdopodobnie brzmi pogląd, że Ziemia Ostrzeszowska zasiedlona została przez osadników z Rzeszowa. Trzeba tylko wytłumaczyć, dlaczego nasza metropolia nie nazywa się Westrzeszów. Czy dlatego, że starożytni Słowianie nie używali widelców i stąd mieli trudności z wyznaczaniem wektorów na osi lewo-prawo? A może w czasach pogańskich był to jednak Westrzeszów, lecz kiedy Westrzeszowianie zwrócili się ku Rzymowi, skonstatawali, iż miasto przodków znalazło się po ich lewej ręce i nazwę zmienili? Dziś nie znajdujemy odpowiedzi na te pytania, lecz przyszłe pokolenia uporają się z nimi z pewnością i postawią nowe, zapewniając językoznawstwu nieprzerwany rozwój. Tą optymistyczną uwagą zakończymy nasz wykład.